Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 33 (1873) ● 14–20 sierpnia 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Maryja na miarę naszych możliwości

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
33
9 770867 223607

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 637fc21c80

WOJNA DOMOWA

Premier się rozpłakał. No prawie, ale głos mu się załamał ze wzruszenia, do którego od razu się przyznał: „Jak widzicie, to moje wzruszenie nie jest udawane” – orzekł. A co mianowicie tak wzruszyło szefa rządu? Fakt, że wydamy 10 dużych baniek papieru na amerykańskie helikoptery. Albowiem – ogłosił Donald Tusk – „dzisiaj nie ma ważniejszego celu, jak inwestowanie w nowoczesną, skuteczną polską armię i dlatego wszystkie Polki i wszyscy Polacy składają się na to wielkie przedsięwzięcie, jakim jest nowoczesna, najsilniejsza na naszym kontynencie armia – ale my nie mamy innego wyjścia”. Owszem, mamy. Możemy przestać myśleć w kategoriach „kto ma większego”, postawić na współpracę europejską, zarzucić retorykę – żeby użyć terminu z minionej epoki – podżegactwa wojennego i zaangażować się w proces pokojowy, który wcześniej czy później będzie musiał nastąpić. Jeśli zamiast tego wywalamy 200 mld zł na zabawki, których nigdy nie użyjemy, kosztem likwidacji szpitali i ograniczenia badań przesiewowych na raka – to jest to wybór polityczny, a nie dziejowa konieczność. Czasem warto o tym przypomnieć.

Jeszcze więcej entuzjazmu wykazał komisarz polityczny Tuska w MON wiceminister Tomczyk, który z absolutną ekstazą ogłosił, że „Polska wydała w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich lat 65 miliardów dolarów, a w ciągu najbliższych lat wydamy przynajmniej drugie tyle na utrzymanie sprzętu i na zawieranie nowych kontraktów”. To oznacza – uwaga – pół biliona złotych. To trzy czwarte rocznych dochodów budżetu państwa wyprowadzone za granicę. Toteż i nie dziwota, że ambasador Rose – znany głównie z tego, że w imieniu USA „zerwał wszystkie kontakty” z marszałkiem sejmu, który nie zechciał poprzeć wniosku o pokojowego Nobla dla Trumpa – uradował się niepomiernie i nawet skomplementował Tomczyka w amerykańskim stylu. W Waszyngtonie – dowiedzieliśmy się – nazywają naszego wiceministra „Rambo Tomczyk”. Choć uczciwie trzeba powiedzieć, że Tomczyk sam sobie na to zasłużył chłopięcym zachwytem nad helikopterami Apache, które właśnie kupiliśmy: „Ja jestem przekonany, że gdyby dzisiaj Rambo mógł latać śmigłowcem, a nie z nim walczyć, to latałby oczywiście Apache’em”… Nawet najpotężniejsza armia nie zastąpi powagi państwa.

W PiS-ie zapanowała nerwowość. Poniekąd zrozumiała, wziąwszy pod uwagę najnowszy sondaż uwzględniający nową partię Mateusza Morawieckiego. W takim układzie PiS ma 17,8 proc., Konfederacja – 10,6 proc., Braun – 9,6 proc., a Rozwój Plus – 6,8 proc. W sumie hegemonia prezesa na prawicy okazuje się bardziej krucha, niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Jarosław Kaczyński jest ponoć gotów prosić Karola Nawrockiego o to, żeby został patronem wspólnej listy prawicy w przyszłorocznych wyborach. Zdaniem „Newsweeka” prezydent tego nie zrobi, bo „się boi”. Tak nam się zdaje, że Nawrocki ma wiele wad, ale strachliwość do nich akurat nie należy. W odróżnieniu od całkowitego braku moralności, który objawił się ostatnio w wystąpieniu prezydenta RP, wiernego syna Kościoła i ucznia Jezusa: „Niech tam na Ukrainie mordują sowietów, którzy ich napadli i w ogóle nas, Polaków, to nie boli, w tym zakresie zawsze mogą liczyć na naszą pomoc”. Dziecięca radość, jaką u głowy naszego państwa budzi koncept mordowania kogokolwiek, jest lekko niepokojąca.

Ale żeby nie było: polska prawica nie ogranicza się do mordowania Moskali. Kilku Ukraińców też by chętnie wysłała na tamten świat. Tobiasz Bocheński – bodaj ostatni inteligent, który został u boku prezesa i stara się ukrywać swoje niewłaściwe pochodzenie klasowe pod warstwą populistycznego radykalizmu – ogłosił, że jego partia będzie deportować Ukraińców w wieku poborowym, chyba że będą mogli się wylegitymować legalnym zatrudnieniem. I słusznie, wszak Ausweis jako sposób na uniknięcie łapanki ma na ziemiach polskich długie tradycje. „Będą mieli okazję walczyć o swoją ojczyznę, żeby horror tej wojny się szybko zakończył” – wyjaśnił swój plan Bocheński. Według „Financial Times” 50 do 70 proc. ukraińskich rekrutów przeżywa na froncie nie więcej niż kilka dni, więc dla nich horror kończy się zaiste szybko.

Szymon Hołownia rozważa ponoć powrót na białym koniu, gdyż już nie może dłużej patrzeć jak jego dziecko – Polska 2050 – kona w rynsztoku. Słychać nawet, że może pójść drogą wyznaczoną przez wybitnego polityka prawicy prof. Piotra Glińskiego i zostać ministrem kultury w randze wicepremiera. Z tych pogłosek nie jest zadowolona Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, której niestety puszczają nerwy. Jej wcześniejsza twarda merytoryczność i gotowość do stawiania się Tuskowi – szacun – coraz częściej niestety przechodzi w coś, co (przepraszając za seksizm) musimy nazwać babską histerią. „Próby przekupywania za stołek wicepremiera to jest najgorszej wody politykierstwo i mam nadzieję, że to są tylko plotki, bo jak czytam, to aż zęby mnie od obciachu bolą” – zawyła ostatnio w Eremefie. Nie jest to sposób na odzyskanie poważania, pani minister.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Sierpień 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Amela

Do ciągłej dyskusji o służbie zdrowia dorzucam propozycję: oszczędzać, nie lecząc połamanych sportowców. Nie dlatego, że stają się kalekami na własne życzenie. Z tego powodu, że deklarują, iż ich celem jest powrót na boiska i tory wyścigowe, a co za tym idzie – do szpitala.

Świętego Hiacynta

Niepoczytalność „Gazety Polskiej Codziennie” posuwa się z dnia na dzień. Akcja redakcji w odwecie za embargo: wyrzuć rosyjski produkt z koszyka. Apel ilustrują rosyjskie wódki i dziewczyna, aż ślinka leci.

Naczelny redaktor Tomasz Sakiewicz, nawiązując do Polski jagiellońskiej, twierdzi, że mocarstwowa idea znowu kiełkuje. Państwa Europy Środkowej powinny stworzyć sfederowane państwo bez Niemiec, ale za to z… Gruzją i antyturecką Armenią. Sakiewicz nie dopowiada, że hegemonem ma być Polska, jednakże na stolicę wyznacza Kraków. Nowe mocarstwo osadzi się na wawelskich grobach polskich królów i sąsiednich książąt.

Ilust. OLEJNIK

Świętej Heleny

Nocne upławy myśli Daniszewskiej są ciekawsze niż te jej dzienne wobec Wołk-Łaniewskiej w drodze do kościoła. Co zapamiętałem: każda staruszka marzy o seksie z pedofilem. Lesbijki to kobiety o lepszym, bo męskim guście. Trudno post factum liczyć kochanków, ponieważ nie każdy stosunek seksualny w ogóle się zauważa. Ślub niszczy orgazm. Mężczyzn należy wabić, kapryśnie wydymając wargi sromowe. Tylko gej naprawdę lubi kobiety. Daniszewska zawsze do łóżka szukała Żydów, ponieważ od polania na chrzcie święconą wodą chłopcu już na zawsze opada. Gej, który rżnie kobietę, jest jak Hitler, który całuje Żyda. Biskupi nie lubią Żydów, chociaż niektórzy robią wyjątek dla Chrystusa. Jednym z gatunków wymarłych ssaków są biedni Żydzi. Nie chcąc być gwałcone przez mężczyzn, lesby wszczepiają sobie w pochwę haczyki wędkarskie. Zamiast decydować się na dzieci lepiej zaczynać od wnuków. Kobieta wtedy kocha partnera, gdy nie ma innych zajęć. Prawicowi wrogowie skrobanek powinni na nie zezwalać resortowym dzieciom. Czekam w telewizji na wiadomość – ciągnęła Daniszewska – że piorun jebnął kobietę i nikt poza tym. Wnuczka jej powiedziała, że dziewictwo to wstyd przed całym przedszkolem. A wnuk gimnazjalista, że małpę różni od człowieka brak kredytu do spłacania. Kościół może żyć z państwa, tylko niech przejdzie na zasiłki z pomocy społecznej. My, feministki, jesteśmy skłócone z ateistami. Oni uważają, że Pan Bóg nie istnieje, my że nie istnieje Pani Bogowa. Wiarę w Boga przynosi nie ksiądz, lecz Alzheimer, gdy pacjent jest w wieku beznadziejnie podeszłym. Jan Paweł II zabrał nam gaśnicę na ducha. Tu utrudzona myśleniem Daniszewska zachrapała i aż do rana była jak do rany przyłóż.

Świętego Januarego

Zginął nasz kot Benedykt, który nosi to imię, ponieważ ma niczym brat bliźniak mordkę podobną do emerytowanego papieża. Po trzech dobach pudel Azor, odznaczony komandorią Polonia Restituta, poczuł cieczkę w dalszym sąsiedztwie i pobiegł mieć dzieci z suką. A tam kilka psów szczekało i skomlało, prosząc o łapę tej suki. Na drzewie zaś siedział Benedykt, który schronił się tam przed psami i siedział przez trzy doby bez żarcia i picia, wystawiony na ulewę, grad i pioruny. Zdjęty został wychudzony, zeszmacony, półprzytomny i dochodził do siebie u weterynarza na kroplówkach. Nie jemu jednemu życie uratował cudzy pociąg płciowy, w tym wypadku Azora.

Świętego Jeana Eudesa

Bezustannie wyrażam zgodę na operacje bankowe. Zarabiam teraz na deflacji, czekając na inflację, żeby na niej zarobić. Za dawnego kapitalizmu dobrze było mieć fabrykę – teraz maklera.

Świętego Bernarda

Daniszewska była na pogrzebie znajomego. Wśród żałobników był Leszek Miller. Podał Daniszewskiej rękę. Odwzajemniła uścisk, ale nie pocałowała ręki Millera, co należy. Po tym geście waham się, czy pójść na pogrzeb Millera. Mam jeszcze 20 lat, żeby się zastanowić. Zresztą zależy, co mi poradzi Palikot, jeśli wrócę do jego łask. I czy będzie msza za umowną duszę Millera. W konkordacie Suchocka zapomniała zastrzec, że wszyscy premierzy RP idą do nieba.

Świętego Krzysztofa

Przyjemny jest kraj, w którym wojsko – maszyneria do zabijania – nie rzuca się w oczy. Jest jak klozet: instytucją potrzebną, ale wstydliwą. Defilada to otwarcie wychodka. Służy ona do wzniecania w społeczeństwie militaryzmu. Pokazują nam w TV, że jakieś maszyny potrafią jechać lub latać, a żołnierze tupać. Kosztowny pokaz kosztownych zabawek nie jest nawet demonstracją siły militarnej. Wiadomo, że gdyby ulicą przejechała jedna międzykontynentalna rakieta nuklearna – przedmiot nieefektowny – ma ona większą moc od jakiejkolwiek defilady. Nasza dała prezydentowi pretekst do wydzielania strumienia banałów w stylu: silni, zwarci, gotowi, zbrojeniami obronimy pokój. Mógł wziąć dawną mowę Rokossowskiego, zmienić tylko kierunki zagrożeń i sojuszy, a byłaby jak ulał.

Defiladę żywcem oglądałem 11 listopada 1938 r. W Łodzi. Z okna przy ul. Piotrkowskiej. Konie tańczyły dupami i wznosiły kopyta. – Jak ci się podoba? – zapytała gospodyni mieszkania, kładąc przede mną czekoladkę. – Wolę cyrk – odparłem, a ona zabrała mi czekoladkę.

Świętego Bernarda

Dzwoniła Moskwa. Daniszewska odmówiła rozmowy o polityce. Dziwna reakcja. Przecież władze Rosji, jak i Polski, mogą Urbanom naskoczyć. Nie wolno samonapędzać sobie strachu, bo się traci wolność.

Cd. św. Bernarda

Niepotrzebnie prof. Hartman i inni biadolą nad upadkiem uniwersytetów i mizerią humanistyki. Rośnie nowe pokolenie przyszłych noblistów. Dostałem maila tej treści: „Opracowuję pracę doktorską na temat podłódzkich letnisk i poszukuję kontaktu do osób, które mogłyby coś pamiętać na temat wypoczynku pod Łodzią przed wojną”.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Kuchnia Wikinga** stworzyła lody o smaku ziemniaka. W domu wystarczy possać mrożoną frytkę.
- **Główny Inspektorat Sanitarny** zapewnia, że okazjonalna sprzedaż lemoniady przez dzieci nie podlega kontroli sanepidu. Za to dojedzie ich skarbówka.
- **W Łodzi** od października honorowi dawcy krwi będą parkować bezpłatnie. W takim razie dawcy organów powinni mieć dopłaty.
- **Kancelaria Nawrockiego** zamówiła grzyby shimeji. Takie coś to Wałęsa miał na stopach.
- **Jarosław Kaczyński** powiedział, że Morawiecki jest w jakimś dziwnym stanie. Pewnie jest pod wpływem.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Bogurodzica naszym hymnem

Rząd potwierdził, że w 2028 r. do Polski przyjedzie papież, czyli będzie to w 50. rocznicę wyboru JP2. Kampania wyborcza w 2027 r. upłynie więc pod znakiem przygotowań do tej rocznicy i wizyty (…). Tym samym, z dużym prawdopodobieństwem przyjąć można, że w kampanii (…) temat tzw. rozdziału Kościoła i państwa z przyczyn oczywistych nie zaistnieje. Już teraz nawet Nowa Lewica, najgłośniejsza w tych kwestiach, milczy. (…) Kancelaria prezydenta natomiast zajmuje się petycją w sprawie zastąpienia dotychczasowego hymnu pieśnią Bogurodzica. Oczywiście do takiej zmiany nie dojdzie, ale sam fakt zajmowania się czymś takim pokazuje kierunek, w jakim to wszystko podąża. (…) Jeśli chodzi o rozdział Kościoła i państwa, obecna koalicja rządząca całkowicie abdykowała, czego można było się spodziewać, chociaż jest to dziwne, że tak się rozjeżdża z oczekiwaniami społecznymi, no chyba że Polacy tak naprawdę się nie laicyzują lub są już tak obojętni, że nie obchodzi ich, czy państwo jest świeckie, wyznaniowe czy jakiekolwiek inne i czy w ogóle istnieje.

PS

Bloody Mary

Nawiązując do listu Czytelnika zamieszczonego w ostatnim numerze, proponuję obdarzyć konotopską Matkę oczami słynnej myszy ze „Zmienników”. Czerwony kolor miałby również nietrudne do rozszyfrowania znaczenie metaforyczne.

Grzegorz Ruch Lewic(z)

Precz z Piotrowiczem

Słyszymy czasem w sejmie okrzyki prawej strony pod adresem marszałka Czarzastego: „precz z komuną”. Podpowiadam. Należałoby odpowiedzieć krzyczącym: „Mam nadzieję, że usłyszy to również prokurator Piotrowicz”.

À propos fety prezydenckiej z 6 sierpnia – cieszmy się, że to nie jest jeszcze miesięcznica.

Anna Maj

eprasa.pl 637fc21c80

Ułaskawienie niegangstera

Kibol z płotu, Nawrockiemu lżej

Donald Tusk napisał na portalu X, że ułaskawienie kibica Legii „Starucha" należy do pięciu najgorszych decyzji prezydenta Karola Nawrockiego. Politycy Koalicji Obywatelskiej zaczęli powtarzać hasło: „kibol ułaskawił kibola". Zwolennicy Nawrockiego odpowiadają, że prezydent miał prawo zastosować prawo łaski, a wyrok był zwyczajnie niesprawiedliwy. Rzecznik prezydenta ogłosił, że prezydent nie ma obowiązku tłumaczyć swoich decyzji. My zdanie rzecznika mamy w dupie, politycy powinni się tłumaczyć ze swoich decyzji, zwłaszcza wtedy, kiedy mają do nich prawo – gdy nie mają prawa, to nie powinni decyzji podejmować. Ale zamiast wojny plemiennej warto przyjrzeć się faktom.

Lider i gniazdowy

„Staruch" (ksywka pochodzi od rodowego nazwiska, on sam zmienił je po ślubie na nazwisko żony) jest znanym kibicem Legii Warszawa. Przedstawia się go często w mediach jako nieformalnego lidera pseudokibiców Legii, co dla osoby nieznającej realiów świata kibicowskiego może być mylące.

„Staruch" był gniazdowym, czyli osobą odpowiedzialną za prowadzenie dopingu. Stał na podwyższeniu lub płocie, wybierał przyśpiewki, kierował rytmem dopingu i mobilizował tysiące ludzi do wspólnego zapiewania. Bardziej przypominał postać Oskara z filmu „Skrzydlate świnie" niż gangstera z filmów Patryka Vegi.

Jego pozycja w środowisku kibiców wynikała z charyzmy, zapału i umiejętności kierowania dopingiem, a nie z brutalności, agresji czy udziału w grupach przestępczych. Jest więc liderem dopingu, ale nie grupy chuliganów. „Staruch" nie jest i nie był zawodowym gangsterem. Nie brał udziału w słynnych kibicowskich ustawkach na gołe pięści – w przeciwieństwie do Karola Nawrockiego.

Pochodzi z inteligenckiej rodziny, ukończył warszawskie liceum im. Miguela de Cervantesa, studiował na ASP, a zawodowo jest tatuażystą i współprowadzi znane studio tatuażu.

Błędy i konsekwencje

Nie jest też zupełnie kryształową postacią. Najpoważniejszą sprawą z jego przeszłości było pobicie – wraz z dwoma kolegami – kibica innego klubu. Do tego napastnicy zabrali pokrzywdzonemu torbę ze sprzętem sportowym. „Staruch" przyznał się do winy, dobrowolnie poddał karze i został skazany na dwa lata w zawieszeniu.

Kilka miesięcy później uderzył w twarz piłkarza Legii Jakuba Rzeźniczaka po przegranym meczu z Ruchem Chorzów. Za naruszenie nietykalności cielesnej otrzymał karę prac społecznych. Był to głupi i agresywny wybryk – ale warto zapamiętać jeden szczegół. Do zdarzenia doszło na murawie stadionu, czyli w miejscu nieprzeznaczonym dla publiczności w myśl obecnie obowiązującej ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych. Ten motyw wróci w sprawie, w której został ułaskawiony.

W 2012 r., tuż przed Euro 2012, „Staruch" został zatrzymany pod zarzutem handlu narkotykami. Podstawą do aresztu były zeznania świadka koronnego Marka H., pseudonim Hanior.

„Hanior" to wyjątkowo ponura postać. Zaczynał jako złodziej i chuligan Legii, potem piął się w hierarchii grup przestępczych. Złapany poszedł na współpracę z prokuraturą i jako świadek koronny pomógł rozbić brutalny gang Rafała S. „Szkatuły". Przy okazji obciążył również wiele osób ze środowiska kibicowskiego.

„Staruch" spędził osiem miesięcy w areszcie. Ostatecznie został jednak prawomocnie uniewinniony. Sąd w uzasadnieniu wskazał, że prokuratura zbyt bezkrytycznie uwierzyła w zeznania świadka koronnego. To jedna z tych spraw, które pokazują, że można mieć na koncie wyroki, a jednocześnie samemu paść ofiarą sytemu sprawiedliwości. Zwłaszcza w Polsce.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Przepustka i płot

Po uniewinnieniu „Staruch" wrócił do prowadzenia dopingu. Gdy prezesem Legii był prawnik Bogusław Leśnodorski, klub prowadził politykę dialogu z kibicami, aby ograniczyć przemoc, promować akcje patriotyczne i charytatywne. Jednym z przedstawicieli kibiców zaangażowanych w dialog był właśnie „Staruch", który zaczął nawet latać samolotem razem z piłkarzami (w tym z Rzeźniczakiem, którego kiedyś uderzył). Ponoć niektórzy kibice Legii zarzucali mu, że zmiękł, że jego doping stał się za grzeczny, ale gniazdowym pozostał.

W marcu 2025 r. podczas wyjazdowego meczu Motor Lublin–Legia Warszawa wszedł na ogrodzenie oddzielające trybunę od boiska i stamtąd prowadził doping. I za to wejście na płot został skazany. Cytując wyrok: „podczas meczu (…) przebywał w miejscu nieprzeznaczonym dla publiczności".

Prawicowe media i internetowi influencerzy z okolic PiS-u nazywają wyrok absurdalnym i niesprawiedliwym. Jednak wydaje się, że sąd nie miał innego wyjścia. Art. 54 par. 2 ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych jasno stwierdza, że karze „podlega, kto w czasie imprezy masowej przebywa w miejscu nieprzeznaczonym dla publiczności".

Tyle. Płot jest miejscem nieprzeznaczonym dla publiczności – wskazuje to wprost regulamin stadionu w Lublinie. Co ciekawe, kara za wejście na płot jest niemal automatyczna i natychmiastowa – a wiele innych sytuacji, jak zajęcie miejsca w nie swoim sektorze, karane jest dopiero, gdy kibic wykazuje upór i nie słucha wezwań uprawnionych służb.

„Staruch" twierdził, że organizator meczu wydał mu przepustkę pozwalającą poruszać się po strefach niedostępnych dla zwykłych kibiców. Takie akredytacje otrzymują dziennikarze, fotografowie, operatorzy kamer czy obsługa techniczna. Pytanie brzmi: czy kibic mający specjalną akredytację nadal jest wyłącznie uczestnikiem imprezy masowej – czy też uzyskuje uprawnienia wynikające z decyzji organizatora i przestaje go obowiązywać artykuł 54 ustawy? W ustawie takiego wyłączenia nie ma.

Sprawę do sądu w Lublinie wniosła policja na podstawie zdjęć i wideo. Wobec dowodów i treści przepisu sąd wątpliwości nie miał. Ale „Staruch" nie mógł przedstawić argumentów w swojej obronie: o pierwszej rozprawie nie wiedział, a termin odwołania przegapił, bo nigdy nie odebrał wyroku. Sąd nie zgodził się na przywrócenie terminu i sprawę zamknął. Wyrok uprawomocnił się więc praktycznie bez merytorycznej obrony. Ostatecznie „Staruch" został ukarany grzywną 2500 zł oraz dwuletnim zakazem uczestnictwa w imprezach masowych: zakaz obejmował więc nie tylko mecze Legii, ale również koncerty.

Nowy obrońca „Starucha" z sądami już nie walczył, tylko złożył do prezydenta wniosek o zastosowanie prawa łaski. Prezydent Karol Nawrocki darował pozostałą część zakazu stadionowego (został niecały rok) oraz doprowadził do zatarcia skazania. Grzywnę „Staruch" zapłacił wcześniej.

Głupsze decyzje

Można uważać, że prezydent nie powinien korzystać z prawa łaski w tak błahych przypadkach – dotyczyła ewidentnej sprawy, w której dodatkowo oskarżony przez niedbałość pozbawił się możliwości odwołania, a nałożona kara nie była drastyczna. Są w Polsce większe błędy wymiaru sprawiedliwości do naprawienia niż dwa lata zakazu chodzenia na mecze. Natomiast trudno twierdzić, że prezydent ułaskawił brutalnego gangstera albo sprawcę ciężkiego przestępstwa. Przestępstwo popełnione przez „Starucha" można w jednym zdaniu opisać tak: nielegalnie wlazł na płot, bo myślał, że mu wolno.

Jeżeli Donald Tusk rzeczywiście uważa, że to ułaskawienie należy do pięciu najgorszych decyzji Karola Nawrockiego, to wystawia Nawrockiemu niezłe świadectwo. A łatwo przecież wskazać głupsze i budzące większy sprzeciw decyzje prezydenta.

Polscy prezydenci korzystali z prawa łaski wobec osób skazanych za gorsze rzeczy niż włażenie na płot. Lech Wałęsa ułaskawił szefa pruszkowskiej mafii „Słowika", a Duda – swoich kolegów partyjnych Kamińskiego i Wąsika, którzy fałszowali dokumenty w celu eliminacji politycznej konkurencji.

Pojawia się też pytanie, czy ustawa o bezpieczeństwie imprez masowych nie wymaga doprecyzowania. Na wielu stadionach gniazdowi prowadzą doping z ogrodzeń, na co mają zgodę organizatora imprezy. Na ogrodzenia czy dach stadionu wchodzą też zatrudnieni przez klub operatorzy wideo czy fotografowie. Jeżeli literalnie stosować obecne przepisy, każdy taki przypadek może skończyć się identycznym wyrokiem.

LEON ORŁOWSKI

Boska restrukturyzacja

Nasza Maryja jest największa!

Roman Karkosik jest jednym z najbogatszych Polaków, co z punktu widzenia ekonomii oznacza, że ma znacznie więcej pieniędzy od większości Polaków, a z punktu widzenia jego dobrostanu oznacza dokładnie to samo. Człowiek mający dużo pieniędzy może je wydawać na fabryki, jachty, kolekcje zegarków albo działalność charytatywną. Karkosik wybrał pomnik.

Alokacja

W Konotopiu w województwie kujawsko-pomorskim powstał z jego pieniędzy gigantyczny posąg Matki Boskiej. Ma 55 m wysokości. Czyli o 2,5 m więcej niż Chrystus ze Świebodzina. Nieoficjalnie wiadomo, ze inwestycja kosztowała około 100 mln zł. Ale jak ktoś już stawia Matkę Boską, to nie po to, żeby była druga, ale żeby była najwyższa w Europie.

100 mln zł jest kwotą abstrakcyjną tylko dla ludzi, którzy jej nie mają. Zwłaszcza dla pracownika walcowni, który zastanawia się, czy za kilka miesięcy będzie jeszcze miał robotę. Karkosikowy pomnik został zbudowany za prywatne pieniądze, więc formalnie wszystko się zgadza. Wolny kraj, wolny rynek, wolny miliarder i wolna Matka Boska. Tyle że równocześnie należąca do kontrolowanej przez Karkosika Grupy Boryszew Walcownia Metali „Dziedzice" w Czechowicach-Dziedzicach zwalnia jedną trzecią pracowników. Ktoś złośliwy powiedziałby więc, że zamiast ratować miejsca pracy ludziom produkującym mosiężne półfabrykaty, miliarder daje zarobić osobom lejącym beton przy religijnym kolosie.

Walcownia Metali „Dziedzice" nie jest zakładem, który powstał przedwczoraj dzięki dotacji dla start-upu. Została założona w 1896 r. Produkuje wysokiej jakości półfabrykaty z mosiądzu, eksportuje do ponad 30 krajów. Znajduje się w Czechowicach-Dziedzicach, 34-tysięcznym mieście należącym do Bielskiego Okręgu Przemysłowego. W tej samej miejscowości działają PKP Cargo, kopalnia PG Silesia, TRW Automotive oraz Valeo. To ostatnie zamierza podobno zwiększać inwestycje i przenosić do Polski część prac wykonywanych dotychczas w Niemczech. Czyli w jednym zakładzie będą zwalniać, w innym być może przyjmować, a statystykom wyjdzie, że rynek pracy jest stabilny.

Obecnie w walcowni pracuje 447 osób. Pierwszy pomysł pracodawcy zakładał zwolnienie 200 ludzi. Związkowcy po długich i trudnych rozmowach wynegocjowali, że maksymalnie wyleci 150 osób. Pozostanie około 300. Oznacza to sukces negocjacyjny, bo 150 to mniej niż 200.

Optymalizacja

Z powodu trudnej sytuacji finansowej firmy nie udało się wywalczyć dodatkowych odpraw dla wszystkich odchodzących. Korzystniejsze rozwiązania przewidziano wyłącznie dla pracowników z najdłuższym stażem. Najwyraźniej

kasa na odprawy zależy od sytuacji finansowej zakładu, zaś kasa na stawianie Matki Boskiej – od sytuacji finansowej miliardera. Są to oczywiście dwie zupełnie różne kieszenie, dwa różne przedsięwzięcia i dwie różne inwestycje. Tyle że właściciel jest jakoś dziwnie ten sam,

a ludzie mają paskudny zwyczaj patrzenia nie tylko na dokumenty księgowe, ale też na to, co widzą. Widzą zaś, że w jednym miejscu brakuje na odprawy, a w drugim rośnie 55-metrowe monstrum za sto baniek. Gdyby tę kwotę – czysto teoretycznie – podzielić przez 150 zagrożonych etatów, wyszłoby po ok. 666 tys. zł na człowieka. Sześć lat pracy za średnią krajową.

Zwolnienia rozpoczęły się w lipcu i potrwają do lutego przyszłego roku. Firma nie odetnie więc 150 etatów jednego dnia, bo źle by to wyglądało. Będzie je „wygaszać" stopniowo, miesiąc po miesiącu, dzięki czemu dramat rozłoży się równomiernie w czasie. Jeden z pracowników ma umowę tylko do listopada i podejrzewa, że nikt nie będzie go nawet formalnie zwalniał; firma poczeka, aż kontrakt wygaśnie. To jedna z zalet umów terminowych. Człowieka nie trzeba wyrzucać, wystarczy go nie zatrzymać. Pracownikowi różnica ta niespecjalnie pomoże przy płaceniu rachunków, ale w firmowych dokumentach wygląda przyjaźniej.

Żeby jednak miliarderowi oddać sprawiedliwość, pomnik zaczęto budować dwa lata temu. Wówczas nikt podobno nie przewidywał, że rynek miedzi tak mocno tąpnie. Cena miedzi w ciągu roku skoczyła o około 30 proc. – z 10 do 13,5 tys. dolarów za tonę. Zakład pracuje na kontraktach długoterminowych, więc zanim skończy realizować zamówienie, koszt surowca może wyglądać zupełnie inaczej niż w dniu podpisywania umowy. Miedź drożeje, produkt końcowy też musi zdrożeć, a odbiorcy dochodzą do wniosku, że zamiast płacić więcej, poszukają tańszych materiałów. I znajdują.

Swoje robią też wysokie ceny energii. Walcowanie metali nie polega wszak na tym, że pracownik bierze młotek i uderza dwa razy. To działalność przemysłowa zużywająca ogromne ilości prądu. Do tego doszły cła na produkty, w tym amerykańskie cła zaporowe, przez które walcowni odpadł ważny kawałek rynku zbytu. Firma znalazła się więc między drogim surowcem, drogą energią, malejącym popytem i barierami w handlu.

Restrukturyzacja

Grupa Boryszew oczekuje „wymiernych efektów restrukturyzacji". Wymierny efekt oznacza coś, co można policzyć. 150 pracowników da się policzyć bardzo łatwo. Ich pensje, składki, urlopy i inne koszty też.

Czy zatem budowanie pomnika zamiast utrzymywania etatów jest novum w biznesplanach polskich miliarderów? Niekoniecznie. Polski biznes od dawna wie, że zakład przemysłowy musi się opłacać, a prywatna fantazja właściciela nie musi. Fabryka ma przynosić zysk, pomnik ma przynosić chwałę. Pracownik musi na siebie zarobić, figura – nie. Człowieka można zwolnić, gdy światowa cena miedzi wzrośnie o 30 proc., a Matki Boskiej nikt nie zredukuje z 55 do 40 m z powodu pogorszenia koniunktury. Od pracowników oczekuje się elastyczności, poświęcenia i zrozumienia dla sytuacji rynkowej. Od monumentu oczekuje się tylko, żeby stał.

Można oczywiście powiedzieć, że budowa też daje ludziom pracę. Ktoś przygotował projekt, ktoś wylał fundamenty, ktoś produkuje elementy, ktoś je przewozi, ktoś obsługuje maszyny, ktoś spawa, montuje i pilnuje całego interesu. Karkosik faktycznie pozwala więc zarabiać ludziom pracującym przy pomniku. Potem kasa zacznie płynąć do straganów sprzedających przekąski, napoje i dewocjonalia. W końcu powstanie kilka knajp dla religijnych turystów.

Matka Boska spogląda więc z wysokości 55 m na polską gospodarkę, w której prywatna fortuna pozwala tworzyć rzeczy niepodlegające rachunkowi opłacalności, podczas gdy 130-letnia fabryka musi nieustannie go zdawać. Być może właśnie na tym polega nowoczesny biznesplan miliardera. Zakład ma zarabiać na właściciela, a gdy zarabia za mało, zwalnia ludzi. Właściciel zaś zarobione wcześniej pieniądze może przeznaczyć na coś, co nigdy nie zarobi na nikogo, ale za to będzie najwyższe w Europie.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl 637fc21c80

Berek trybunalski

Lewico, postaw się!

Na ostatnim posiedzeniu Rady Ministrów Donald Tusk znienacka poinformował swój rząd, że Maciej Berek go opuszcza i otrzyma „inne zadania". Chwilę później „Polityka Insight", a w ślad za nią i Onet, i OKO.press – które informację tę jakoby potwierdziły w kilku źródłach – ogłosiły, że Berek idzie do Trybunału Konstytucyjnego.

Poruszony profesor

Namaszczenie faceta, pełniącego z poruczenia Tuska dziwaczną funkcję „ministra nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu", na sędziego TK zaniepokoiło nawet życzliwych rządowi prawników. Prof. Matczak ogłosił w Tefałenie, że „jest dosyć mocno poruszony" pomysłem, który będzie „kpiną w pewnym sensie z tych ludzi, którzy tysiącami wychodzili na ulicę" przez osiem pisowskich lat, protestując przeciwko upolitycznianiu trybunału. Rzadko się zgadzam z Matczakiem – ale tym razem: w punkt.

Co ciekawe, podobne wahanie wyrażają koalicjanci Tuska – choć tylko ci z dalszego szeregu. Paulina Hennig-Kloska wyznała, że „ma wątpliwości", a nawet „uważa, że to będzie błąd". Anna Maria Żukowska ogłosiła – zapewne w imieniu klubu parlamentarnego, którym kieruje – że „do niedawna czynny polityk nie dostanie głosów klubu". Choć już Krzysztof Gawkowski nie brzmiał tak pewnie (niepewność przejawiła się także w dziwacznej składni): „Lewica zawsze z przychylnością podchodzi do kandydatur prodemokratycznych, pro praw człowieka, prokonstytucyjnych, którzy wyrażali swoją wolę co do pracy w różnych instytucjach". Nie wiem jak Państwo, ale ja jestem skłonna podejrzewać, że Gawkowski – bądź co bądź wicepremier – wie coś, czego nie wie Żukowska.

Oczywiście wsadzenie członka rządu – będącego nie tyle nawet funkcjonariuszem partyjnym, co komisarzem politycznym – do trybunału, który ma decydować o tym, czy działania rządu są, czy nie są zgodne z konstytucją, jest wulgarnym złamaniem zasad, o które walczyli przeciwnicy PiS-u. To nie wymaga uzasadnienia. Jakościowo nie ma żadnej różnicy między Berkiem a Pawłowicz, Piotrowiczem i Święczkowskim – tu nie ma o czym gadać. Ale jest też druga kwestia – a mianowicie kompetencja p. Berka do zasiadania w tym najważniejszym dla kształtu polskiej państwowości organie.

Doskonały doktor

Trybunał Konstytucyjny rozstrzyga zawiłe dylematy, wymagające olbrzymiej wiedzy prawniczej, wielkiego doświadczenia, błyskotliwego prawniczego umysłu. Politycy i zwolennicy koalicji rządzącej, krytykujący potencjalne wtrybunienie Berka, czują się w obowiązku dodać asekuracyjnie, że „jest doskonałym prawnikiem"; prof. Matczak orzekł nawet, że „może to potwierdzić". Moje pytanie brzmi: serio? A skąd to wiemy?

Maciej Berek, rocznik 1972 (nic w tym złego, ja też), posiada stopień doktora nauk prawnych, który uzyskał dekadę temu, na podstawie rozprawy „Rada Ministrów jako organ inicjujący postępowanie ustawodawcze". Tak się składa, że za pierwszych rządów PO, od 2007 do 2015 r., pracował w kancelarii prezesa Rady Ministrów na różnych stanowiskach związanych z organizacją pracy i legislacją. Inaczej mówiąc: w wieku lat 44 napisał doktorat o swoim miejscu zatrudnienia. To nie jest praca człowieka, który chce poświęcić życie zgłębianiu nauk prawnych; to działanie faceta, który stracił robotę, nieco się nudzi, a poza tym uważa, że dobrze jest mieć „dr" przed nazwiskiem.

„Dr" pozwoliło Berkowi dorabiać w charakterze adiunkta na dwóch uczelniach. Potem załapał lepszą, acz zgoła nieprawniczą fuchę dyrektora Centrum Informacyjnego Senatu u marszałka Grodzkiego, jeszcze później został dyrektorem generalnym w biurze RPO, aż Donald wrócił w Aleje i zabrał go ze sobą. Gdzieś tam pod drodze był radcą prawnym, ale za dużo w zawodzie nie popracował.

W sumie p. Berek niewątpliwie może być sprawnym administratorem i legislatorem – ale czy cokolwiek w tym życiorysie krzyczy do Was: wybitny teoretyk? Znawca prawa? Autorytet prawniczy?

Tajemniczy premier

W tym miejscu czuję się w obowiązku odnotować, że Maciej Berek odszedł ze stanowiska ministra we wtorek i wtedy też pojawiły się przecieki o jego trybunalskich aspiracjach. W środę Donald Tusk pytany o ich prawdziwość odparł tajemniczo: „Jutro będę miał konferencję prasową, proszę o cierpliwość".

Ilustr. PAWEŁ FERENC

W momencie zamykania tego numeru „NIE" – w środę wieczorem – nie wiemy zatem tego, co Państwo będą zapewne wiedzieć, czytając go w piątek. Może się zatem okazać, że biorę udział w bezsensownej gównoburzy. Jeśli tak – to najserdeczniej Państwa przepraszam za zawracanie głowy.

Jednak mam takie niemiłe przeczucie, że właśnie ta gównoburza – i tajemnicze milczenie Tuska i Berka w tej sprawie – wskazuje, że wepchnięcie tej kandydatury w gardło koalicjantów może stać się ćwiczeniem z dyscypliny zadanym przez Tuska ludziom, których uważa za podwładnych. Premier wyraźnie czerpie z satysfakcję z pokazywania swoim politycznym towarzyszom, kto tu rządzi.

Jest w tym zresztą pewien element ironii, która może być dla Donalda kusząca. Otóż w 2024 r. obecna koalicja rządząca przyjęła nowelizację ustawy o TK, która wprost uniemożliwiłaby Berkowi ubieganie się o to stanowisko. Stanowiła ona, iż byli prezydenci, posłowie, senatorowie, europosłowie, ministrowie, sekretarze i podsekretarze stanu, a także pełnomocnicy rządu „mogą kandydować na stanowisko sędziego Trybunału, jeżeli od zakończenia sprawowania urzędu, wygaśnięcia mandatu lub zakończenia pełnienia funkcji upłynęły co najmniej 4 lata". Andrzej Duda odmówił podpisania tej ustawy i odesłał ją do Trybunału Święczkowskiego. Który – cóż za niespodzianka – uznał nowelizację za niekonstytucyjną. Toteż dziś Tuska może kusić koncept gatunku: chcieliście, to macie.

Warto też odnotować, że wepchnięcie Berka do TK nie byłoby całkiem bezprecedensowe. Dotychczasowi nominaci koalicji 15 października też nie są osobami politycznie obojętnymi. Trudno oprzeć się wrażeniu, że większość z nich otrzymała to stanowisko w ramach nagrody za walkę z PiS-em. Jak trafnie zauważył prof. Maciej Gutowski – wybitny prawnik, którego nie sposób oskarżyć o pisizm – zamiast wysyłać do TK szefów stowarzyszeń sędziowskich, które przez osiem lat wojowały z władzą, można było wybrać profesów prawa o niepodważalnym autorytecie, szanowanych konstytucjonalistów, znanych z pracy naukowej, nie z „walki o praworządność". W obecnym składzie TK, łącznie z siódemką nominowaną przez obecny układ, nie ma żadnego profesora tytularnego; konstytucjonalista jest jeden. To nie przyczynia się do odbudowy autorytetu trybunału ani do przekonania obywateli, że jest to instytucja apolityczna, kierująca się tylko i wyłącznie prawem. Berek nie byłby tu jakąś wielką odmianą.

Towarzysze pod ścianą

Lewicy podrzuciłabym jeszcze jeden problem: Maciej Berek był zatrudniony na stanowisku głównego legislatora Pracodawców RP – organizacji, która, jak by to ująć, w walce klasowej stoi po stronie zgoła przeciwnej do tej, po której powinna stać lewica. Nazwijcie mnie staroświecką, ale konflikt między pracą a kapitałem uważam za najważniejszy także w tzw. demokracji liberalnej (cokolwiek by to dziś znaczyło). I konflikt ten będzie narastał – wraz z pogarszaniem się sytuacji ludzi pracy w związku z kolejnymi cięciami w polityce społecznej spowodowanymi absurdalnym budżetem militarnym. Ucierpi na tym wiele praw socjalnych zagwarantowanych w konstytucji. Myślę sobie, że lewica nie powinna przykładać ręki do wysyłania do Trybunału Konstytucyjnego agenta przeciwnego obozu.

Dlatego mam – wiem, żałosny – apel do lewicy: jeśli dojdzie do namaszczenia Berka, postawcie się. Wyhodujcie – jak subtelnie mówią Amerykanie – parę jaj, nie pozwólcie aż tak sobą pomiatać, towarzysze. Tusk Was, póki co, potrzebuje. Jeśli nie teraz, to kiedy?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

GADMAN

Dwaj wielcy przywódcy polskiej prawicy zagrali tego samego dnia. Pierwszy w samo południe wystąpił prezes Jarosław Kaczyński. Podczas naprędce zwołanej konwencji programowej chciał dać odpór zbuntowanej frakcji morawian. Kolejny raz okazało się, że szybkie działania nie muszą być skuteczne. Sztabowcy PiS-u wyznaczyli termin konwencji na czwartek. Dzień pracy i wcześniej prognozowanych rekordowych upałów. Niewygodny nawet dla zagorzałych fanów prezesa, zwłaszcza mieszkających poza Warszawą. Taki wybór był bezmyślnością sztabowców PiS-u. Albo z góry założono, że prezes i jego Czarnek przemówią jedynie do wybranego aktywu swych zawodowych zwolenników. A taka formuła od razu obniżyła rangę medialną wydarzenia.

Prezes suporterem

Traf – lub bezmyślność sztabowców PiS-u – sprawił, że tego samego dnia, tylko wieczorem, zaplanowano występy innego wodza polskiej prawicy. Prezydenta Karola Nawrockiego. Z okazji pierwszej rocznicy jego prezydentury. Z udziałem licznie zaproszonych gości. Nic dziwnego, że tego dnia w programach informacyjnych czołowym wydarzeniem stał się występ prezydenta, a konwencja prezesa – imprezą drugorzędną. Jej drugorzędność potwierdzili prezes Kaczyński i jego Czarnek. W swych wystąpieniach stale wspominali o prezydencie Nawrockim.

Prezes Kaczyński przypominał wiodącą rolę PiS-u w wykreowaniu Nawrockiego na prezydenta RP. Zawierzał też swą partię jego politycznej opiece. Jeszcze dalej w basowaniu Nawrockiemu poszedł kandydat PiS-u na premiera. Wzywał Nawrockiego do jeszcze bardziej wzmożonej walki z rządem Tuska. Bo inaczej skłócona prawicowa opozycja nie poradzi sobie. W oparach takich umizgów na plan drugi zeszły prezentowane tam programowe postulaty PiS-u.

Prezentowane w mediach występy prezesa Kaczyńskiego i jego Czarnka wyglądały jak suport. Czyli występ słabszego lub mniej znanego zespołu rozgrzewającego widownię. Wypełniającego czas przed oczekiwanym koncertem gwiazdy. Dlatego przebieg konwencji Prawa i Sprawiedliwości sprawiał wrażenie przygotowań do pogrzebu jego prezesa.

Zaślubiny prezydenta

Za to pierwsza rocznica prezydentury Nawrockiego pobrzmiewała weselną muzyką. Jednoroczny prezydent stale przypominał o swych zaślubinach z polskim Narodem. Prezentował się jako zwycięski kandydat „obywatelski". Nie wspominając, że to PiS wysunął jego kandydaturę. Zorganizował i opłacił mu kampanię wyborczą. W swej amnezji politycznej prezydent

Alert RCB jest niewydolny w przypadku wojennych zagrożeń

Ratuj Ciało, Biedaku

Pod koniec lipca podczas zmasowanych rosyjskich ataków na Ukrainę doszło do naruszenia polskiej przestrzeni powietrznej. W pobliżu miejscowości Tarnawa Kolonia na Lubelszczyźnie spadła rosyjska rakieta manewrująca CH-101. Polaków bardziej od zguby Putina obraził brak alertu RCB.

Niepokoje

30 lipca około godz. 4.00 uruchomiono system wczesnego ostrzegania w Lublinie i kilku innych rejonach województwa lubelskiego. Rakieta spadła ok. 1,5 km od najbliższych zabudowań. Obrażenia odniosło tylko pole uprawne, ale dźwięk syren alarmowych wywołał duże zaniepokojenie wśród lokalsów. Szybko okazało się, że ludzie, którzy odpowiadali za bezpieczeństwo rodaków przez pierwsze dwa lata po ataku Rosji na Ukrainę – oraz pozostała część opozycji – nie znają procedur.

Posłowie PiS-u natychmiast zorganizowali konferencję prasową, na której domagali się wyjaśnień, dlaczego obywatelom nie wytłumaczono przy pomocy esemesów, po jaką cholerę wyły syreny. Sławomir Mentzen stwierdził na platformie X, że alerty RCB służą głównie do powiadomień o pogodzie, a gdy dzieje się coś ważnego, system leży odłogiem. Podczas konferencji prasowej na miejscu zdarzenia premier Donald Tusk, minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński i szef MON Władysław Kosiniak-Kamysz przekonywali, że system ostrzegania zadziałał prawidłowo. Pod gradem pytań dziennikarzy szybko spuścili z tonu. Tusk przyznał, że „procedury wymagają uzupełnienia", i zapowiedział wprowadzenie zasady wysyłania po odwołaniu alarmu wiadomości SMS uspokajających mieszkańców i potwierdzających, że zagrożenie minęło. Zapewnił, że rząd przeanalizuje „wszystkie elementy reakcji państwa". Kilka dni później do sprawy odniósł się na antenie RMF FM wiceszef MSWiA Czesław Mroczek. „Musimy zautomatyzować ten proces, by wysyłanie alertów RCB było również błyskawiczne i będziemy te alerty wysyłać razem z uruchomieniem syren" – stwierdził.

Pytanie, po co? Alert RCB mógł być uruchomiony, ale nie musiał. Obywatel ma przede wszystkim dostać informację o istnieniu zagrożenia, a niekoniecznie o jego szczegółach.

Ustalmy fakty. Modulowany dźwięk syreny ogłasza alarm, a jednostajny go odwołuje. Zapowiedź głosowa jest alternatywnym sposobem ogłoszenia alarmu, a alert RCB osobnym kanałem komunikacji. Z punktu widzenia procedur i obywateli faktycznie wszystko zadziałało jak należy.

Można było się tego dowiedzieć z „Poradnika bezpieczeństwa", którego papierową wersję w pierwszej kolejności otrzymali m.in. mieszkańcy województwa lubelskiego. Może nie zdążyli przeczytać. Swego czasu media społecznościowe i lokalne portale zostały zalane zdjęciami broszur wyrzucanych do kosza lub pieca, co politycy prawicy wykorzystywali jako dowód na marnotrawienie pieniędzy podatników przez rząd. W sejmowych kuluarach posłowie PiS-u nazywali poradnik najdroższą makulaturą w historii.

eprasa.pl 637fc21c80

Jedno wesele i jeden pogrzeb w polskiej prawicy

Karol Zbawiciel

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Nawrocki nie przejawiał też wdzięczności dla wyborców wszystkich Konfederacji ani partii Razem, którzy poparli go podczas drugiej tury wyborczej jako zdeklarowanego antysystemowca i chłopaka z ludu. Lepszego od libka, salonowego gogusia, czyli tuskowego Rafała Trzaskowskiego. To ich głosy dały Nawrockiemu niewielką przewagę i pięcioletnią prezydenturę.

Mamy teraz w polskiej prawicy okres bezkrólewia. Dotychczasowy jej polityczny król, prezes Kaczyński, jeszcze nie umarł. Ale po secesji morawian stracił mandat przywódcy partii, cieszącej się największym klubem parlamentarnym. Złośliwi komentatorzy polityczni wróżą, że niebawem jego osłabiony PiS przestanie być też liderem partii prawicowych w sondażach przedwyborczych. To ważne, kiedy w mediach i opinii publicznej dominuje dyktatura sondaży.

Zapewne podczas przyszłorocznych wyborów parlamentarnych prezes powalczy o pozycję primus inter pares wśród liderów pozostałych partii. Wtedy będzie musiał negocjować listę kandydatów do senatu z politykami, których postrzega jako gówniarzerię. W sporach z nimi prosić o poparcie prezydenta Nawrockiego, który już go lekceważy. Nie wspiera w walce z rozłamowcami Morawieckiego.

Kaczyński widzi, że Nawrocki nie śpieszy się, by sięgać po berło króla polskiej prawicy. Woli pełnić tam rolę arbitra. Jurora w konkursie na najlepszą partię prawicową. Nie chce też być medialnym politycznym zabójcą prezesa Kaczyńskiego. Woli pogrzebać go rękoma jego konkurentów.

Ja Karol już Wielki

Karol Nawrocki jest pierwszym prezydentem III Rzeczpospolitej, który wpadł to, żeby obchodzić rocznicę prezydentury. Pierwszym, który stale podkreśla, że jest prezydentem Narodu Polskiego. Ma od tego Narodu mandat do sprawowania władzy. Nieograniczony jak chiński cesarz, który swój mandat miał od Niebios. Jednak za ów Naród Polski, to swoje Niebo, prezydent Nawrocki uważa jedynie tych wyborców, którzy na niego zagłosowali: ponad 10 mln jego wyborców z drugiej tury. O pozostałych 10 mln, którzy w drugiej turze zagłosowali na konkurenta, stale zapomina. Nie zwraca się do nich.

Podobnie zapomina, że wygrał niewielką przewagą głosów. Że kandydowanie zawdzięcza prezesowi Kaczyńskiemu. A swe zwycięstwo wyborcze – wielkiej pracy aktywu PiS-u podczas kampanii wyborczej.

W dotychczasowej praktyce politycznej prezydent Nawrocki rozpycha się na scenie politycznej, kiedy tylko może. Tworzy nowe praktyki i zwyczaje polityczne. Falandyzuje polskie prawo, jak tylko może. Przekonuje wszystkich, że jako prezydent RP i mandatariusz Narodu Polskiego ma większe uprawnienia niż wynikające z konstytucji i dotychczasowych praktyk politycznych. Z Narodem Polskim, czyli ze swymi wyborcami, rozmawia przede wszystkim za pomocą przekazywanych im medialnych komunikatów. Dyskutuje z nimi za pośrednictwem swych kancelistów i doradców. Często też deklaruje, że brzydzi się kompromisami. Coraz częściej i śmielej prezentuje wartości, na jakich będzie się opierała jego prezydentura. Już dziś można wymienić jej kluczowe hasła:

– to Duma. Z przynależności do wspaniałego i wielkiego Narodu Polskiego.

– to Rodzina. Fundament wielkiego Narodu Polskiego. Taką preferowaną przez niego rodziną jest tradycyjna, konserwatywna rodzina katolicka.

– to Historia. Tworząca i spajająca wielki Naród Polski. Historia szczególne bliska jest prezydentowi Nawrockiemu, bo jest historykiem z wykształcenia i zawodu. Także historii pasjonatem.

– to Suwerenność. Suwerenność to kolejny fundament wielkiego Narodu Polskiego. Naród niesuwerenny nie jest wielkim Narodem.

– to Wiara. Wiara katolicka, która wiąże w jeden organizm wielki Naród Polski. Prezydent będzie strzegł tej wiary. Wetował wszystkie ustawy, które niezgodne są z jej dogmatami.

Gdyby jednak doszło do dyskusji o katolickich dogmatach na linii Prezydent – Naród Polski – Kościół katolicki, to głos decydujący należeć będzie do Prezydenta. Jako strażnika swej Suwerenności i Suwerenności swego Narodu Polskiego.

Taką pieczę o Suwerenność praktykuje już prezydent Nawrocki w relacjach międzynarodowych. Zakładając, że realizując polskie interesy, może, demonstracyjnie nawet, lekceważyć interesy wszystkich polskich partnerów. I jednocześnie oczekiwać od nich, że ich relacje z Polską będą skupiać się przede wszystkim na realizowaniu jedynie polskich interesów. Nie przeszkadza mu, że w efekcie takiej polityki państwo polskie może być skłócone ze wszystkimi sąsiadami i wieloma partnerami z Unii Europejskiej. Jedynie w relacjach z Donaldem Trumpem prezydent Nawrocki nie eksponuje swej Suwerenności. To sprawia, że ma dobre relacje z prezydentem USA. Dzięki temu nadpobudliwy prezydent Trump nie skłóca się z państwem polskim, co jest jedynym pozytywem prezydentury Nawrockiego.

Poza wspomnianymi wartościami prezydent Nawrocki nie ujawnił innych, jakimi kierować się ma przyszła, rządzona przez niego narodowa i suwerenna Polska. Nie wiemy, jakiego modelu gospodarki pragnie. Dotychczasowe jego weta sugerują, że najbliżej mu do gospodarki rynkowej regulowanej korporacyjnymi zasadami. Postulowanej przez polityków Konfederacji. Gdyby odwołać się do preferowanej przez prezydenta Historii, można by rzec, że właśnie wykluwa się współczesny polski António Salazar.

Podobny Salazarowi, bo ten konserwatywny katolik też pochodził z nizin społecznych. Też był zwolennikiem konserwatywnej rodziny, katolickiej nauki społecznej. Krytykiem liberalnej demokracji parlamentarnej, bo ona, jak Salazar uważał, jedynie demoralizuje państwo i naród. Był Salazar wiernym sojusznikiem USA oferującym amerykańskiej armii bazy na Azorach.

Na razie prezydent Nawrocki buduje swą pozycję jako suwerennego przywódcy polskiej prawicy, czyli swego Narodu Polskiego. Cierpliwie, z dystansem obserwuje prawicowe podziały i kłótnie. Do gry jako arbiter wejdzie, kiedy zostanie poproszony o patronat nad paktem senackim – wspólną listą prawicowych kandydatów do senatu. Wówczas to on, a nie jak dotychczas prezes Kaczyński, będzie miał głos ostateczny.

PIOTR GADZINOWSKI

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Jeszcze bardziej zabawnie brzmi żądanie wyjaśnień w sprawie braku alertu RCB ze strony Mariusza Błaszczaka, któremu w grudniu 2022 r. wleciała rakieta, a znalazła ją osoba cywilna podczas spaceru w lesie...

Bez paniki

Syrena nie wzywa obywatela do chaotycznej ucieczki. Jej podstawową funkcją jest szybkie przygotowanie ludności, zanim administracja zdąży ustalić szczegóły incydentu. W państwach objętych wojną w trakcie alarmu nikt nie dopytuje o detale, tylko postępuje zgodnie z procedurą. W Polsce wojny nie ma. Żeby ostrzeżenie RCB coś dało, jego adresaci muszą mieć czas na reakcję. Krótko mówiąc, takie komunikaty musiałyby trafiać do Polaków, kiedy rosyjskie pociski przelatują dopiero nad Ukrainą. To zupełnie bez sensu.

Alert RCB jest rozsyłany tylko w sytuacjach nadzwyczajnych oraz przypadkach zagrożenia życia i zdrowia. Informacje o stopniu zagrożenia wynikają m.in. z prognoz przygotowywanych przez specjalistów z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

Bezpośrednim impulsem do stworzenia systemu Alert RCB była katastrofa w obozie harcerskim, do której doszło w nocy z 11 na 12 sierpnia 2017 r. w wyniku potężnej nawałnicy przechodzącej przez Bory Tucholskie na Pomorzu. Drzewa powalone uderzeniem wiatru zniszczyły harcerskie obozowisko, zabijając dwie nastolatki i raniąc 38 osób. Ówczesny system ostrzegania ludności okazał się niewydolny. Ze zdarzenia wyciągnięto gorzką lekcję.

Alerty dotyczące pogody pojawiają się na godziny przed wydarzeniem, dając ludziom czas na reakcję. W Polsce pokoju nie ma szans na podobne wyprzedzenie w przypadku rakiet.

Pieprzenie prawicowych dyżurnych to politycznie wygodna konstrukcja – służby miały jednocześnie ostrzec obywateli i natychmiast wiedzieć, czym jest niezidentyfikowany obiekt. Tym samym opozycja wykorzystuje lukę komunikacyjną do podważania całego mechanizmu alarmowania. Ziobro zdziwienia. Przyzwyczajanie ludności do pełnych komunikatów może być w pewien sposób niebezpieczne. Przy zmasowanym ataku obywatele na hasło „kryj się" będą stać jak – za przeproszeniem – Błaszczak i czekać na wyjaśnienia.

Na dokładkę rząd strzelił sobie w kolano, wysyłając kilkanaście godzin po lądowaniu rosyjskiego pocisku na polskim polu komunikat RCB z linkiem do pobrania „Poradnika bezpieczeństwa". W tym samym poradniku ostrzegał, żeby nie klikać w linki wysyłane przez wiadomości SMS, bo mogą być formą ataku hakerskiego wroga. Cóż.

Nowości i możliwości

Alert RCB od lat mierzy się z falą krytyki ze strony ekspertów i obywateli. Powiadomienia są wysyłane bardzo często, nawet przy najmniejszych zagrożeniach. W krytycznych sytuacjach wiadomości potrafią dotrzeć do ludności już w trakcie trwania załamania pogody lub po fakcie. Wskutek tego odbiorcy zaczynają je mieć w pompie i traktować jako dupochron dla urzędników. System jest przestarzały i ma wiele wad. Nie ma co reanimować trupa na potrzebę chwili.

Wszystkim niezorientowanym warto przypomnieć, że polski rząd rozwija system ostrzegania i alarmowania ludności cywilnej. Składa się on z istniejących (i ponoć ulepszanych) narzędzi oraz nowych elementów, w tym aplikacji mobilnych.

Mamy Regionalny System Ostrzegania (RSO), czyli główną rządową aplikację. Wysyła ona geolokalizowane powiadomienia o zagrożeniach (w tym militarnych, pogodowych itp.). Komunikaty pochodzą od wojewodów, MSWiA i RCB. Korzysta z niej ok. 400 tys. osób. Można zainstalować uruchomioną pod koniec 2025 r. aplikację „Gdzie się ukryć". Zastąpiła starszą aplikację „Schrony". Schronów są co prawda ilości śladowe, ale przynajmniej nie trzeba ich szukać na mapach Google.

W wielu krajach w Europie i na świecie funkcjonuje technologia Cell Broadcast, która wysyła sygnały alarmowe na telefony znacznie szybciej, niż dzieje się to przez SMS. Komunikat trafia do wszystkich telefonów w zasięgu konkretnych stacji bazowych. Informacja jest emitowana przez sieć radiową, więc nie generuje kolejek wiadomości ani przeciążeń. Alert wyświetla się od razu na ekranie głównym i często generuje głośny, unikalny sygnał dźwiękowy, nawet przy wyciszonym telefonie. To świetne uzupełnienie innych systemów.

Najbardziej rozwiniętą technologię ostrzegania cywili posiada Izrael. Główna aplikacja izraelskiej armii Home Front Command dzięki lokalizacji GPS wysyła alert tylko do ludzi w konkretnie zagrożonym obszarze. Jest bardzo głośny, pojawia się na całym ekranie i trudno go przeoczyć. Wielowarstwowy system ma dodatkowe bajery. Oprócz mapy schronów jest licznik czasu do uderzenia rakiety, specjalne komunikaty dla seniorów lub np. instrukcje, ile czasu obywatel ma na prysznic, zanim pierdolnie coś z nieba.

Na Ukrainie głównym narzędziem ostrzegania jest aplikacja „Powietrzna trwoga". Oferuje mapę zagrożeń w czasie rzeczywistym, powiadomienia push dla wybranego regionu i jest zintegrowana z oficjalnymi źródłami rządowymi. Polska planuje wdrożenie podobnej struktury, a eksperci sugerują nawet skopiowanie lub licencjonowanie ukraińskich rozwiązań. Są sprawdzone w praktyce i niskobudżetowe. W ich budowie pomagał Izrael, więc można założyć, że nie kupimy kota w worku.

Szef MSWiA Marcin Kierwiński podczas ostatniej konferencji na zaoranym przez Putina polu zadeklarował, że nowoczesny system ostrzegania powstanie w ciągu kilku miesięcy. Będziemy bacznie śledzić proces realizacji tych zapowiedzi.

W najgorszym wypadku rządowe alerty można dołączyć do sklepowych promocji na piwo. Przynajmniej ktoś zwróci na nie uwagę.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 637fc21c80

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dwugłos w sprawie

Pinokio chce robić dzieci

Stowarzyszenie Rozwój Plus, na którego czele stoi ekspremier Mateusz Morawiecki, przedstawiło nowe rozwiązania dotyczące polityki prorodzinnej. Program ma stanowić odpowiedź na trwający kryzys demograficzny. Flagowym pomysłem strategii jest „pensja rodzicielska" dla rodzin z bachorami do trzeciego roku życia. Dzieci co prawda masowo od tego nie przybędzie, ale za to kobiety znowu dostaną po dupach.

Bobo kasa

Bezbachorze w kraju nad Wisłą osiągnęło imponujące rozmiary. Żadne z ponad tysiąca polskich miast nie osiąga dziś takiego poziomu urodzeń, który zapewniałby zastępowalność pokoleń. Pomysły na zmuszenie polactwa do dzieciorobstwa przewijają się od lewej do prawej strony sceny politycznej. Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz w jednym z wywiadów zasugerowała, że być może bezdzietne kobiety powinny przechodzić na emeryturę w tym samym wieku co mężczyźni. Katarzyna Kotula w swoich social mediach rozważała o ustawieniu wieku emerytalnego na podstawie stażu i rodzaju wykonywanej pracy oraz liczby dzieci w przypadku kobiet, a nie na podstawie samej płci. Swoje trzy grosze do antykobiecych i antypracowniczych pomysłów na produkcję młodych Polaczątek dorzucił także Morawiecki, który postanowił Polkom za zmajstrowanie i wychowanie dziecka po prostu zapłacić.

By wspomóc demografię, rodzic miałby dostawać pensję rodzicielską, a ta odpowiadałaby kwocie pensji minimalnej. Obecna najniższa krajowa to 4806 zł brutto, czyli ok. 3600 zł na rękę. Świadczenie miałoby zastąpić 800 plus (przez pierwsze trzy lata hodowania kaszojada) i wprowadzonego przez rząd Donka Aktywnego Rodzica potocznie zwanego babciowym, a także becikowe. „To ponad czterokrotnie więcej niż obecne 800 plus i realne wsparcie rodzin w okresie, gdy opieka nad małym dzieckiem najmocniej wpływa na domowy budżet. Świadczenie oskładkowane, budujące emeryturę rodzica, dające możliwość łączenia z pracą, swoboda wyboru między opieką w domu, żłobkiem a powrotem do aktywności zawodowej po ukończeniu przez dziecko 3 lat – powrót do programu 800 plus na obecnych zasadach" – zachwalał w social mediach Morawiecki. Oczywiście każda nowa pociecha wygeneruje dodatkową pensję. Nic tylko ściągać majtki i brać się do roboty. Otóż nie do końca.

Na pierwszy rzut oka marchewka od tworu Rozwój Plus może się wydawać apetyczna nie tylko ze względu na dodatkowy zastrzyk gotówki. Dla pracującego rodzica to unikalna korzyść w postaci dwóch niezależnych składek emerytalnych wpływających na jego konto ZUS w tym samym czasie. Pierwsza odprowadzana standardowo przez pracodawcę z pensji, druga fundowana przez budżet państwa.

Jeśli kobieta pracująca na umowie zleceniu lub umowie o dzieło zaciąży i z automatu zostanie wywalona z roboty (a zwykle tak właśnie jest), przez trzy lata po urodzeniu smarka będzie się cieszyć zabezpieczeniem finansowym. Skorzystają też bezrobotni albo pracujący na czarno tatusiowie, którzy zechcą zająć się opieką nad tworem swoich lędźwi. Z tej perspektywy wszystko wygląda całkiem przyjemnie. Można też odnieść wrażenie, że wreszcie zapanowała jakaś równość płci. Bez względu na to, kto się zajmie dzieckiem, hajs będzie się zgadzał. Ba, państwową pensję można przeznaczyć na opiekunkę albo zainstalować dziecko w żłobku czy przedszkolu i wrócić do pracy. Morawiecki kładzie nacisk na składki, ponieważ próbuje zmienić wizerunek programów swojej formacji z „rozdawnictwa pieniędzy" na „inwestycję kapitałową". Chciałoby się zapytać: gdzie wady? Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach: długofalowych skutkach ekonomicznych, społecznych i zawodowych. Szczególnie dla pań.

Babie doły

W Polsce opiekę nad nowo narodzonym dzieckiem zdecydowanie częściej przejmują kobiety. Mimo rosnącego zaangażowania ojców statystyki ZUS oraz analizy Polskiego Instytutu Ekonomicznego jednoznacznie wskazują, że główny ciężar opieki w pierwszych latach życia dziecka wciąż spoczywa na matkach. Co by nie mówić, stała pensja ze składkami to nadal silny bodziec do ograniczenia pracy. Nawet jeśli formalnie można łączyć robotę ze świadczeniem, to wielu osobom zarabiającym mało lub średnio opłaca się zostać w domu albo pracować na bardzo ograniczony etat. W praktyce wiele kobiet zdecyduje się na mniejsze zaangażowanie zawodowe, bo łączny dochód i tak będzie satysfakcjonujący, a mit zalet domowego chowu najmłodszych jest wciąż żywy w narodzie.

Nawet jeśli państwo opłacałoby minimalne składki emerytalne od pensji rodzicielskiej, długi okres nieobecności na rynku pracy oznacza brak realnego wzrostu wynagrodzenia (pomijając coroczną waloryzację płacy minimalnej) – a więc także składek. To pogłębi i tak już ogromną lukę emerytalną między kobietami a mężczyznami.

Dodatkowo kobieta zostająca w domu na trzy lata staje się całkowicie zależna od transferów państwa oraz dochodów partnera, co – delikatnie mówiąc – ogranicza jej autonomię życiową.

Świadczenie może zniechęcić do podnoszenia kwalifikacji i edukacji młode kobiety z mniejszych miejscowości lub uboższych rodzin. Wizja otrzymania pensji minimalnej za pielęgnowanie „bombelka" sprawia, że podjęcie pierwszej pracy lub dalsza nauka stają się ekonomicznie nieatrakcyjne w krótkiej perspektywie. W dłuższej zaś – zamyka im to drogę do lepiej płatnych zawodów.

Dla porządku: to prywatna decyzja każdej kobiety, czy woli zostać w domu z dziećmi, czy wrócić do pracy. Warto jednak zauważyć, że zamiast promować model rodziny, w którym oboje rodzice dzielą się opieką i pracą zawodową, pensja rodzicielska instytucjonalizuje rolę kobiety jako „matki-opiekunki" opłacanej przez państwo. Finansowa premia za pozostanie matki w domu zdejmuje z mężczyzn presję angażowania się w opiekę nad noworodkiem na równi z partnerką. Są na świecie mechanizmy, które lepiej wspierają młodych rodziców, a przede wszystkim matki.

Od dupy strony

Wiele osób uważa, że po powrocie z urlopu macierzyńskiego przez rok nie można wykurwić pracownicy z pracy. To bzdura. Z dodatkowej ochrony przed wypowiedzeniem umowy skorzysta osoba, który złoży wniosek o obniżenie wymiaru czasu pracy po powrocie z urlopu związanego z rodzicielstwem. Powyższy 12-miesięczny dupochron nie ma charakteru bezwzględnego. Nie działa w przypadku: ogłoszenia upadłości firmy lub likwidacji stanowiska pracy, reorganizacji miejsca pracy czy zwolnienia dyscyplinarnego. Wskutek tego pracodawcy na prawo i lewo karzą młode mamusie za wypchnięcie na świat dzieciaczka i roczną absencję w robocie. Przy okazji niwelują problem przyszłych zwolnień lekarskich na smarkającego gluta. Nic, tylko rodzić… Nie wspominając, że statystyczna dyskryminacja kobiet w wieku rozrodczym zaczyna się już na etapie rekrutacji.

Niektóre kraje wzięły się na sposób, żeby wilk był syty i owca cała. M.in. Szwecja, Norwegia i Hiszpania postanowiły zmniejszyć niechęć pracodawców do zatrudniania kobiet poprzez normalizację opieki ojców. Część urlopu rodzicielskiego jest w tych krajach obowiązkowa dla mężczyzn. Udział tatusiów w opiece nad kaszojadami z automatu poprawił pozycję matek na rynku pracy. We Włoszech funkcjonuje system obniżki składek za zatrudnianie kobiet długo niepracujących, w tym matek. Ponadto proponuje się dotacje przy przekształcaniu umów czasowych w stałe dla kobiet. Korea Południowa inwestuje w dotacje dla firm za zatrudnianie zastępstw za młodych rodziców. W Wielkiej Brytanii i Niemczech obowią-

Ogień z nieba

Polska nieprzygotowana na zmiany klimatyczne

„Nie ma wody na pustyni, a wielbłądy dalej nie chcą iść" – zawodziła przed laty Beata Kozidrak z Bajmu. Dziś nie ma wody nie tylko na dalekich pustyniach, lecz jest jej coraz mniej w Polsce, co może mieć nader tragiczne konsekwencje.

Kiedy media tasują się putinowską rakietą, która spadła na Lubelszczyźnie, nie starcza im zapału, aby zająć się strukturalnym problemem, jakim jest totalne nieprzygotowanie naszego kraju na – już nie pełzające, lecz pędzące jak szalone – zmiany klimatyczne. Być może jeszcze zatęsknimy za czasami, kiedy uznawaliśmy wodę w kranie i prąd w gniazdku za oczywistość. Kiedy Rzeczpospolita wydaje setki miliardów złotych na broń, rządzącym brak wyobraźni, by zająć się mniej spektakularnymi niż myśliwce i czołgi kwestiami, które jednak twardo zdeterminują dobrostan mieszkających między Bugiem a Odrą.

Zapaść energetyczna

Kiedy Tusk z właściwą sobie dezynwolturą opowiada o kolejnych elektrowniach atomowych w Polsce, zupełnie nie bierze pod uwagę fundamentalnej kwestii, jaką jest ich zależność od dostępu do wody, która chłodzi reaktory. A tegoroczne lato jest bardzo pouczające w tej kwestii.

Z powodu suszy w Rumunii zamknięto jeden z reaktorów elektrowni atomowej w Cernavodzie. Zdesperowane władze użyły marynarki wojennej, aby przeprowadziła kontrolowaną eksplozję na dnie Dunaju w celu usunięcia skały ograniczającej przepływ wody. Dzięki zbudowaniu tymczasowej zapory więcej wody ma trafić do kanału zaopatrującego elektrownię jądrową.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Jak czytamy w „Wyborczej", „aby zmniejszyć obciążenie sieci, fabryki Dacii i Forda zgodziły się wstrzymać produkcję do 19 sierpnia. Według premiera Ilie Bolojana ma to ograniczyć pobór mocy o około 200 MW. Władze zaapelowały również do mieszkańców i przedsiębiorstw o oszczędzanie energii, szczególnie w godzinach największego zapotrzebowania. Problemy nie ograniczają się jednak tylko do kwestii związanych z elektrownią i dostawami prądu. W okręgu Bihor w północno-zachodniej Rumunii około 6 tys. osób otrzymuje wodę z sieci zaledwie przez cztery godziny na dobę – dwie rano i dwie wieczorem".

Jeszcze bardziej przejebane mają Węgrzy, którzy z elektrowni jądrowej w Paks czerpią lwią część prądu. Już dziś dotykają ich przerwy w dostawie energii elektrycznej, wolniej w Budapeszcie jeżdżą tramwaje i metro. Energochłonne fabryki, m.in. przemysł samochodowy czy chemiczny, muszą się liczyć z ograniczeniami. Premier Péter Magyar apelował do mieszkańców, aby po powrocie do domów nie włączali klimatyzacji, gdyż krajowi grożą blackouty.

Przypomnijmy, że budowana w Choczewie elektrownia jądrowa ma być chłodzona wodą morską. Wiele wskazuje na to, że zrzuty podgrzewanej wody przyczynią się do rozkwitu sinic (który już dziś jest problemem na Bałtyku), zniszczenia lokalnych ekosystemów, a koniec końców uderzą w turystykę.

Ale problem jest jeszcze poważniejszy, gdyż nie można wykluczyć, że elektrownia w Choczewie będzie regularnie wyłączana i to wtedy, gdy będzie najbardziej potrzebna. Jak ujął to jakiś czas temu prof. Jacek Piskozub z Instytutu Oceanologii PAN, „w planowanym miejscu poboru wody na użytek przyszłej elektrowni jądrowej już obecnie latem występują okresowo temperatury prawie 20 st. C praktycznie do głębokości planowanego poboru wody. Oznacza to możliwość przekroczenia przed końcem wieku wartości 25 st. C, co oznaczałoby konieczność zmniejszania mocy elektrowni jądrowej w czasie szczytów poboru mocy związanej z letnimi upałami".

Woda, głupcze!

Od paru lat Polskę nawiedza nieustannie susza hydrologiczna, co wiąże się ze zmianami klimatycznymi, cieplejszymi zimami, zmniejszeniem ilości opadów przy ich jednoczesnej intensyfikacji, przez co woda nie zdąży wsiąknąć w glebę. W kraju kultywującym tradycję „szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie" i „wolnoć, Tomku, w swoim domku", jesteśmy bezradni wobec suszy, gdyż wymaga ona podejścia całościowego, na wskroś ekologicznego, nieliczącego się ze sztucznymi granicami własności czy podziałami administracyjnymi.

Już miesiąc temu wydano ostrzeżenia o suszy dla połowy kraju, a konkretnie aż 64 zlewni: Noteci, Warty, Pilicy, Bugu oraz na odcinkach Wisły i Odry. Tak jak kiedyś celem melioracji było szybkie odprowadzanie wody, tak dziś kluczowa jest jej retencja. Trzeba powiększać zdolność retencyjną zlewni, zmniejszając podatność lasów, ekosystemów i rolnictwa na deficyt wodny.

Nie sposób odmówić racji Agnieszce Hobot, która na łamach czasopisma „Sprawy Wodne" zauważyła: „Woda przepływa przez wiele gruntów, mając wpływ na wiele interesów i wymagając odpowiedzialności wielu decydentów. Działanie jednego właściciela może pomóc, ale może też zostać osłabione przez decyzje podejmowane kilka działek dalej. Jeśli na górze zlewni zatrzymujemy wodę, a poniżej nadal czyścimy i pogłębiamy rowy, przyspieszając odpływ, efekt będzie ograniczony. Dlatego potrzebne są nie tylko wsparcie finansowe i techniczne, ale też elementarne porozumienie między sąsiadami w skali zlewni".

Prawda jest brutalna i niech wybrzmi głośno: zbyt szybko odpływająca woda jest utracona dla lokalnych społeczności, upraw, rzek i lasów. Zamiast wojny polsko-polskiej przydałaby się wojna o wodę.

Inna rzecz, że należy się poważnie zastanowić, czy zanieczyszczające glebę i wymagające ogromnej ilości wody aktywności ekonomiczne – jebać hodowlę kurczaków, jebać centra danych AI! – w Polsce są najlepszą opcją. Nie chciałabym, aby za parę lat wodę wykorzystywać do chłodzenia procesorów kosztem potrzeb ludności. Takiej dyskusji, rzecz jasna, nie ma, wszyscy politycy i dziennikarze zaczadzeni są sztuczną inteligencją, symbolem nowoczesności. Wiadomo, dla nich wody nie zabraknie.

Najwyższy czas na otrzeźwienie. Zmiany klimatyczne w Polsce są faktem niepodlegającym dyskusji i trzeba się do nich jak najlepiej przygotować. Chronić przed ich skutkami zwłaszcza najsłabsze grupy społeczne. Inaczej już niedługo czeka nas świat rodem z dystopii „Mad Max", tylko że nie uratuje nas jak w tym filmie przystojny Max Rockatansky, grany przez Mela Gibsona. My mamy prezydenta NowRocky'ego, bardziej zajętego ułaskawianiem kibola niż dobrostanem obywateli.

ZUZ

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

eprasa.pl 637fc21c80

pensji rodzicielskiej

zuje ochrona przed degradacją stanowiska lub wynagrodzenia po narodzinach dziecka. Organizuje się szkolenia dla menedżerów z zarządzania zespołami z rodzicami. W przestrzeni publicznej pojawiają się kampanie zmieniające postrzeganie rodziców jako mniej zaangażowanych w pracę.

Skoro jesteśmy w wielkim świecie, przykład Finlandii dobitnie pokazuje, dlaczego projekty takie jak Morawieckiego są nietrafione. Chodzi o fiński zasiłek na opiekę nad dzieckiem w domu (tzw. HCA). Pierwotnym celem programu było wsparcie rodzin i umożliwienie rodzicom osobistej opieki nad pociechami do trzeciego roku życia. HCA wypłacany jest rodzicowi, który rezygnuje z publicznego żłobka i zostaje z dzieckiem w domu. W praktyce w ponad 90 proc. przypadków z tego rozwiązania korzystają kobiety. Wiele fińskich gmin dopłacało do zasiłku własne bonusy, aby zachęcić rodziców do rezygnacji ze żłobków komunalnych. Analizy wykazały, że im wyższy był lokalny zasiłek, tym dłużej matki pozostawały poza rynkiem pracy, tracąc bezpowrotnie szanse na awans i wyższe emerytury. Konfederacja Fińskiego Przemysłu i rządowe grupy robocze wyliczyły, że likwidacja zasiłku HCA i przeniesienie tych pieniędzy na nowoczesną edukację wczesnodziecięcą natychmiast aktywizowałoby zawodowo ok. 9 tys. kobiet. Program HCA wprost obniżał wskaźnik zatrudnienia w kraju. Ministerstwo Spraw Społecznych i Zdrowia zarekomendowało całkowite zniesienie zasiłku i zastąpienie go zreformowanym, lepiej płatnym, ale krótszym urlopem rodzicielskim, który silniej motywuje ojców do dzielenia się opieką. Po cholerę powielać błędy innych krajów, skoro można wyciągnąć wnioski i zrobić to lepiej?

„Po wprowadzeniu świadczenia 500+ doszło wprawdzie do chwilowego wzrostu, ale od 2017 r. dzietność maleje aż do obecnej chwili. (…) Dziś ten instrument jest dalece niewystarczający, pomimo jego waloryzacji do 800 zł" – piszą anonimowi autorzy z Rozwoju Plus w raporcie „Demografia Polski". Nowy instrument nie poprawi tego stanu rzeczy. Świat się zmienia, ludzie zwyczajnie nie chcą mieć dzieci, a ci, którzy chcą pakować się w pieluchy, mają szereg obaw – nie tylko finansowych. Trzeba pamiętać, że to rząd Morawieckiego odegrał kluczową rolę w uruchomieniu machiny konstytucyjnej i finalizacji wejścia w życie zaostrzonego prawa aborcyjnego. Bez względów na to, jakich kocopołów by teraz w tej sprawie nie opowiadał, to m.in. on jest odpowiedzialny za spadek urodzeń w kraju. Niech trzyma się ze swoimi pomysłami z daleka od macic.

IDALIA DUBICKA

SŁOWO CZERWONE

Feminista Morawiecki

Mateusz Morawiecki idzie śladem PiS-u, kiedy ten wprowadzał pierwszy znaczący transfer socjalny w III RP w postaci 500 plus. Chce płacić kobietom za macierzyństwo, oferując równowartość płacy minimalnej przez pierwsze trzy lata życia dziecka. Komentatorzy zastanawiają się nad tym, czy to podniesie dzietność. I przekonują, że wprowadzenie tego wartego 25 mld zł rocznie zasiłku powinno być zależne od tego, czy w efekcie urodzi się więcej dzieci. Błąd. Ten program wprowadza elementarną sprawiedliwość.

Kiedy mąż, ojciec dziecka, chodzi dalej do pracy, kobieta zostaje z dzieckiem (dziećmi) w domu i wykonuje tytaniczną pracę – bardzo nisko opłacaną (urlop macierzyński) lub całkowicie nieodpłatną. Danie jej przez trzy najtrudniejsze lata pensji choćby minimalnej za tę opiekę i poświęcenie, nieprzespane noce, ciągłe monitorowanie rozwoju i zdrowia małego człowieka – to ukłon w stronę koncepcji opłacania pracy domowej kobiety. I nawet gdyby to rozwiązanie nie miało zaowocować baby boomem, to warto je wprowadzić, żeby wyrwać kobiety z dotychczasowego niewolnictwa. To byłby ważny krok w kierunku uznania pracy domowej za pracę, za która powinno się płacić. Mój kumpel z Francji po rozwodzie z żoną musiał oddawać swojej byłej połowę zarobków za tyle lat, ile ona pracowała w domu, odsunięta od rynku pracy.

Analizując te propozycje w portalu money.pl, Kamil Fejfer wiąże ich wprowadzenie z podniesieniem podatków. Ich dotychczasowe niepodnoszenie – mimo rosnącego deficytu budżetowego – określa jako następstwo naszego narodowego charakteru. To sprytne, ale nie wskazuje, komu te podatki należy podnieść. Fejfer jednocześnie zakłamuje rzeczywistość, ignorując podstawowe fakty: że podatki w krajach demokratycznych podnosi się bogatym, bo oni najmniej na tym ucierpią, a niepodnoszenie podatków zawdzięczamy właśnie bogatym, którzy skutecznie zapobiegają zwiększeniu własnej daniny.

Komentator w swym tekście o pomyśle Morawieckiego skłamał jeszcze dwa razy. Po pierwsze: że nasza sytuacja mieszkaniowa się poprawia. Po drugie: że mamy już oszczędności. Wszystko to ma uzasadniać tezę, że Polacy są hedonistami, którzy wolą wydawać na przyjemności niż na wychowanie dzieci.

Są dwie Polski. Polska wyobrażona, gdzie ludzie się bogacą, a kraj żyje dostatniej. I Polska realna, gdzie większość rodzin żyje na styk. Jeżeli są oszczędności, to wystarczają maksymalnie na skromne przeżycie trzech miesięcy. A średni czas poszukiwania nowej pracy w Polsce wzrósł do 4,5 miesiąca, co jest najwyższym wynikiem w historii pomiarów – wynika z 61. edycji raportu Monitor Rynku Pracy przygotowanego przez Instytut Badawczy Randstad i Instytut Badań Pollster. Jak donosi portal money.pl, 17 proc. dorosłych Polaków nie ma żadnych oszczędności. Co więcej, aż 33 proc. osób posiada ich tak niewiele, że umożliwiłyby przetrwanie nie dłużej niż przez miesiąc.

Polska ma jeden z najwyższych wskaźników przeludnienia mieszkań w Unii Europejskiej – jedna trzecia Polaków żyje w warunkach nadmiernego zagęszczenia.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tyle na temat poprawiającej się sytuacji mieszkaniowej. Stawiam przeciwną tezę do tej, którą postawił Fejfer: dzieci rodzi się mało nie z powodu hedonizmu i rozbujanej konsumpcji, lecz z powodu biedy i złej sytuacji mieszkaniowej. W naszych mieszkaniach nie tylko nie ma miejsca na dzieci, ale też nie bardzo jest gdzie uprawiać seks, żeby je począć.

Gdybyśmy powiedzieli Mateuszowi Morawieckiemu, że jego propozycja to krok w kierunku równouprawnienia kobiet poprzez docenienie i wycenienie ich pracy przy wychowaniu dzieci, bardzo by się zdziwił, a nawet obruszył. Feminizm nie jest bowiem częścią prawicowej agendy.

Fejfer myśli kategoriami legendarnej klasy średniej. Bo klasa średnia, której jest mało, ale która stoi pośrodku umysłowego spektrum wielu panów redaktorów, za pieniądze za urodzenie dziecka wynajęłaby niańkę, a sama poszła do pracy.

Jest jeszcze jeden ważny aspekt wprowadzenia tego zasiłku w pierwszych trzech latach życia dziecka. Kobieta nie musiałaby z przyczyn ekonomicznych przyjmować byle jakiej roboty i to na umowę śmieciową. Wzrosłaby jej pozycja przetargowa na rynku pracy.

I o to właśnie mieli największą pretensję biznesmeni do rządu, który wprowadził zasiłek 500 plus: że trudno się zrobiło o tanią sprzątaczkę czy pomoc domową.

Wyswobodzenie kobiet z nieopłacanej niewolniczej pracy domowej jest wartością samą w sobie. Tylko czy w wyniku dyskusji, do której zachęca Rozwój Plus, powstanie pomysł, jak ten program sfinansować, zabierając bogatym, a nie jak zwykle biednym np. przez podniesienie VAT-u? Zobaczymy.

PIOTR IKONOWICZ

Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kaczyński chce być hyclem

PiS z banderowcami

Podczas ostatniej konwencji programowej PiS-u zapowiedziano, że jedną z pierwszych istotnych decyzji prawicowego rządu po powrocie partii Kaczyńskiego do władzy będzie „deportacja Ukraińców w wieku poborowym". Zwłaszcza tych, „którzy nie pracują legalnie w Polsce". Czyli Ukraińców bezpańskich.

Propozycja wyłapywania ukraińskich dekowników i pacyfistów oraz deportowanie ich na Ukrainę zapewne wielce ucieszyła wszystkich ukraińskich militarystów. Zwłaszcza kapłanów kultu UPA i Stepana Bandery. Wielu z nich już wyłapuje takich gagatków na terenie Ukrainy. Zawodowo i społecznie. Jeśli PiS powróci do władzy, będą ci ideowi banderowcy oficjalnie, urzędowo współpracować z administracją rządową ideowego PiS-u. Będą pomagać PiS-owi w identyfikowaniu zatrzymanych na terenie państwa polskiego ukraińskich pacyfistów i dekowników.

Wspólnie organizować kibitki deportacyjne dla wyłapanych.

Zapewne dzięki takiej propozycji już teraz poparcie dla PiS-u wśród banderowców znacząco wzrosło. Zapewne wielu z banderowców zagłosowałoby w wyborach na PiS, gdyby tylko mogło. Zawsze jednak mogą wpłacić na popierającą ten plan TV Republika. Bo przecież,

dzięki takiej tradycyjnej polskiej bezinteresownej miłości bliźniego kolejne ukraińskie jednostki pod wezwaniem UPA otrzymają świeże kontyngenty mięsa armatniego ukrytego jeszcze w Polsce.

Zapewne kierowane na wschód transporty z wyłapanymi żegnane będą przyjaznym, gromkim „Sława Ukrajini!" pana prezesa Kaczyńskiego i „Herojam sława!" pana posła Tobiasza Bocheńskiego.

PIOTR GADZINOWSKI

MÓŻDŻEK TYGODNIA

– Ja to, proszę pana, dobrze z tymi partiami mam. Wchodziłem do sejmu z Zetchaenu i Awuesu, pamięta pan, co to był Zetchaen?

– No… Coś chrześcijańskie czy coś…

– Tak, proszę pana, chrześcijańskie i narodowe, musisz pan o tym wiedzieć i teraz nie stawiać oczu w słup na wieść, że ja z Braunem. Jak on po chrześcijańsku i z narodem, to gdzie ja mam, proszę pana, pójść? Do Razem? Zresztą ja już byłem, proszę pana, u populistów, i wiem czym to pachnie. Dziwi się pan? A Samoobrona to pies? No więc mi się wtedy opłacało być z Lepperem, bom do Brukseli wyjechał i tam dużo dobrego dla Polski zaczął żem robić. Co dobrego? No, pomyśl pan, gdyby nie ja, to gdzie byśmy dzisiaj byli? No, my, Polska, Europa, Unia Europejska…

– Eurokołchoz.

– A tak, proszę pana, żeby pan wiedział, że eurokołchoz. Sam najlepiej wiem, bo ja, proszę pana, na trasie do Brukseli i Strasburga zęby żem zjadł i z pięć silników żem zatarł, tak żem, proszę pana, wte i wewte zapierdykał. Nie, nie dwu-, tylko czterosuwem, i nie limuzyną, tylko kabrioletem, a czasem takim małym na dwóch kółkach, no… Motocyklem!

– Że też pan tak zdanżał…

– A co miałem nie zdanżać? Wstawałem za piętnaście trzecia, byłem już po śniadaniu, bom śniadanie jadł na lancz, wsiadałem w czterosuwa na dwóch kołach i dalej, proszę pana, aż do Jasła. Gdybym mógł, to jeszcze dalej bym jeździł, do Lwowa i Kijowa, ale nie mogłem, bo w Jaśle mniej więcej Polska się kończyła i co? Miałem do Ukrainy jeździć?

– Do Ukrainy? Tfu!

– A tfu, proszę pana, tfu, po trzykroć tfu! Plułem ja wtedy i dziś pluję pod wiatr historii, który teraz nie wiadomo, z której strony zawieje. I prezes, proszę pana, może mnie zawieszać w prawach, za przeproszeniem, członka i na tego członka może mi skoczyć, bo ja jestem uczciwy chrześcijanin, który oddał wszystko, co podprowadził, i ja mam teraz, proszę pana, sumienie czyste jak łza. Czysty jak kryształ mogę stanąć przed Braunem w narodowym lekkim rozkroku i rękami założonymi na plecach. Jak będzie trzeba, to na prawe ramię założę opaskę, niebieską flagę podpalę, a w żółto-niebieską wytrę buty. A potem na lancz zjem kolację, ogolę się, ubiorę w płaszcz i położę się spać.

– Dobrej nocy.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 637fc21c80

Bronię Ewy Woydyłło. I Igi Świątek też.

Głupiutka afera

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W najweselszym baraku obozu socjalistycznego krążył dowcip o kajakarstwie: – Tatusiu, ja nie chcę do Ameryki! – Nie marudź, smarkulo, wiosłuj! Ojciec Igi Świątek był za młodu wybitnym wioślarzem, ale wszystkie swoje siły i cały majątek spożytkował do przetarcia drogi swojej ukochanej córeczki do czołówki światowego tenisa, gdzie są największe pieniądze. Od szóstego roku życia po dzień dzisiejszy Iga Świątek nie robi niczego innego, tylko wiosłuje sitem francuskiej marki Tecnifibre Tempo 298.

Dr Ewa Woydyłło-Osiatyńska jest terapeutką i psycholożką wyspecjalizowaną w ciężkich przypadkach uzależnień, więc nic co ludzkie, nie może być jej obce. Może właśnie dzięki temu wdowa po naszym wybitnym konstytucjonaliście Wiktorze Osiatyńskim w praktyce zawodowej Igi Świątek dostrzegła coś, co umknęło uwadze najwybitniejszych tenisologów. Od czasu, kiedy Iga zaczęła gwałtownie zjeżdżać w rankingu WTA – a poziom niektórych przegranych przez nią spotkań był po prostu żałosny – nasza gwiazda tenisa dwukrotnie, bez osiągnięcia poprawy, wymieniła trenerów, lecz nie wpadła na pomysł wymiany kogokolwiek innego w zespole. Znawcy tenisa są zgodni co do tego, że przyczyną turniejowych niepowodzeń Igi jest słaba odporność psychiczna i przemożny strach przed przegraną, lecz próba zastąpienia psycholożki Darii Abramowicz przez jakiegoś sprawnego mentalistę nigdy nie została podjęta.

Obszerny fragment wypowiedzi Ewy Woydyłło odpisuję z internetu: „Przypuszczam, że ona się wypaliła, że tenis wystarczył jej na kilka lat spektakularnego wspinania się. Rozbłysła jak gwiazda, a teraz już nią nie jest, jest spadającym meteorem. I ciągle spada, spada… To jest okropna rola i to może bardzo źle na nią wpłynąć. (…) Wyskoczyła jako gwiazda, wykreowała się na rozumną, dojrzałą, mądrą dziewczynę, a najprawdopodobniej jest głupiutka, wystraszona i sama nie rozumie, co się dzieje. Tam nie siedzi tylko Abramowicz, ale też trzech, czterech panów, ojciec, siostra. To nie jest tak, że wyniki nie mają dla niej znaczenia. Mają. Gdy przegrywa, jest bardzo smutna, zmartwiona sobą, zła na korcie, a była promienną, zwycięską boginią tenisa”.

Przecież to – zwłaszcza ostatnie zdanie – nie są słowa hejtera. Dr Woydyłło wygłasza opinie bolesne, ale bez hejterskiej satysfakcji z zadanego bólu. Przeciwnie, robi to w zatroskaniu o psychiczny dobrostan Igi Świątek. Wysoko ceniona terapeutka, a przy tym wyśmienita sportsmenka, chciałaby widzieć Igę triumfującą, ale mniema, że wszelkie próby przeskoczenia samej siebie mogą okazać się daremne.

Z szerokiego kontekstu wataha wyżłów dziennikarskich i podrzędnych specjalistów od sportu lub uzależnień wydłubała dwa epitety – głupiutka i przestraszona – które nieostrożnie wypowiedziane zostały przez dr Woydyłło na żywo. Wyżły mają węch wyostrzony na smród wychodka, lecz okazały się ślepe na całokształt. Fe, paskudnie.

Parę dni po wybuchu afery nasza mistrzyni odniosła w Toronto przepiękne zwycięstwo nad Martą Kostiuk. Jak powiedziała później Świątek, taktyczne wskazówki otrzymane po pierwszym secie pomogły jej „poprawić poziom gry i znaleźć sposób na coraz skuteczniejsze przełamywanie obrony rywalki”. A przecież w boksie Igi Świątek nie było trenera Roiga! Czy skutecznych wskazówek taktycznych udzieliła jej etatowa psycholożka Abramowicz? Mogło być i tak, że w pierwszej przerwie między setami Iga powiedziała sama do siebie: „Jestem głupiutka i wystraszona? Zobacz, ty mądralo z Marymontu Dolnego, jak potrafię trzymać się w ryzach!”.

Sugeruję taką motywację w drugiej i trzeciej odsłonie występu Igi Świątek na korcie w Toronto. Trochę pomogła Idze pięknie i skutecznie grająca Marta Kostiuk, która w drugiej odsłonie meczu uległa panice. Ale to przecież nie wystarczało, żeby wygrać mecz trzysetowy. Potrzebny był dodatkowy bodziec; zagniewanie z powodu urażenia dumy osobistej Maszyny z Raszyna.

Dr Ewa Woydyłło kilkadziesiąt lat temu wyciągnęła z nałogu mojego młodszego kolegę z redakcji „Kultury”, z którym – według miar i terminologii Zofii Komedowej – „wypiłem wannę wódki”. Skopiowana z amerykańskiego ruchu Anonimowych Alkoholików metoda terapeutyczna dr Ewy zasadzała się na samowiedzy. Przystępując do grupy AA, delikwent musiał się przedstawić: „Na imię mam Wiktor. Jestem alkoholikiem”. Nie profesorem prawa, nie wybitnym konstytucjonalistą. Jestem po prostu anonimowym alkoholikiem i proszę wszystkich ludzi o pomoc.

Gdy przed ćwiercią wieku poczułem się śmiertelnie zagrożony przez gorzałkę, zwróciłem się do Ewy Woydyłło z prośbą o zawodową pomoc, a ona – Anioł Zbawienia wszystkich pogrążonych w paskudnym nałogu – odparła brutalnie: „Kuba, ty nie jesteś alkoholikiem, ty po prostu mniej pij!”…

Dwukrotnie zaszywałem sobie esperal, raz nawet jako bezbożnik złożyłem ślubowanie życia w trzeźwości przed Panem Bogiem i księdzem salezjaninem, prałatem Henrykiem Michalakiem. Bezskutecznie, bo za każdym razem po upływie połowy roku na powrót popadałem w nieprzystojne pijaństwo. I dopiero dr Woydyłło brutalnym odebraniem mi prawa do rozczulania się nad samym sobą sprawiła, że wyłabudałem się z pijaństwa o własnych siłach. Skoro nie jestem alkoholikiem, to nic nie usprawiedliwia mojej słabości. Po prostu wziąłem się w garść i jestem trzeźwy już od co najmniej 20 lat.

Telewizyjna celebrytka Monika Olejnik pierwsza odkryła, że epitety „głupiutka” i „wystraszona” wypowiedziane publicznie przez dr Ewę Woydyłło pod adresem monumentalnej Igi Świątek to obrzydliwy, niedopuszczalny hejt. Bez rzeczywistego ku temu powodu Olejnik rozpoczęła lawinę autentycznego hejtu, jaki wylał się na bogu ducha winną autorkę zbawiennego zdanka dedykowanego zbłąkanym: „Nie możesz zmienić jutra, ale możesz zmienić dziś!”.

Żeby zrozumieć znaczenie słowa, trzeba nie tylko znać jego słownikową definicję, ale także wiedzieć należy, kto je wypowiada i w jakich czyni to okolicznościach. Kiedy głowa państwa mówi do dziennikarza Półchłopka z groźnie wyciągniętym w jego kierunku palcem wskazującym: „Pan się ogarnie i słucha, co mówi prezydent Polski!” – to znając upodobanie pana NowRocky'ego do walk w klatkach i do ustawek w otwartym plenerze, można w tej niewinnej wypowiedzi doszukać się groźby karalnej.

Natomiast w przypadku nieszczęsnego wywiadu dla kanału Trzeci Serwis trudno w wypowiedzi dr Ewy Woydyłło doszukać się złej, jadowitej intencji. Zresztą z wdziękiem wielkiej damy psycholożka uroczyście i publicznie oświadczyła: „Przyznam, że dzisiaj jest mi wstyd za moją wypowiedź. Chciałabym to naprawić, ale nie wiem, co mogę zrobić. Przyznam, że czuję się dokładnie tak, jak wypowiedziałam się o Idze. Jestem głupiutka i wystraszona”…

Nasza mistrzyni po wysłuchaniu przeprosin topowej terapeutki od uzależnień poczuła się na tyle mocno, że pokonała w Toronto wyjątkowo dobrze dysponowaną Dianę Sznajder i awansowała do półfinału.

Kto dziś pamięta, że Iga Świątek spadła z pierwszego miejsca w rankingu po karze miesięcznej dyskwalifikacji nałożonej przez tenisową doping control? Po powrocie do gry w turze WTA, jeśli nie liczyć ubiegłorocznego Wimbledonu, już nie odnosiła spektakularnych zwycięstw. Jako alkoholik myślący trzeźwo odważam się na hipotezę, że właśnie brak zakazanej substancji w organizmie może być przyczyną słabszych wyników naszej reprezentacyjnej tenisistki. Dlatego tym bardziej należy docenić dobrą grę Igi Świątek w Toronto i skuteczność werbalnego dopingu dr Ewy Woydyłło, bo tkwi w tym nadzieja na kolejne wielkie sukcesy Maszyny z Raszyna.

JAKUB KOPEĆ

Państwo zdążyło na pogrzeb

Kiedy RP uzna, że ludziom nogi nie odrastają?

W latach 90. mój stary przyprowadzał na komisję lekarską niepełnosprawnego kolegę. Kolega nie miał nogi, więc potrzebował pomocy w poruszaniu się po mieście. Dla orzeczników brak kończyny nie był jednak stanem dostatecznie trwałym. Obejrzeli pacjenta, przeczytali dokumenty i przyznali mu niepełnosprawność na czas określony. Po kilku latach miał wrócić, żeby urząd mógł sprawdzić, czy noga mu nie odrosła.

Minęło 30 lat. Weszliśmy do NATO i Unii Europejskiej, zbudowaliśmy autostrady, telefony przestały być przywiązane kablem do ściany. Tylko amputowane kończyny nadal nie chcą odrastać zgodnie z kalendarzem komisji.

Niedawno Jarek Szubrycht opisał w „Gazecie Wyborczej” poniżający rytuał orzekania o niepełnosprawności. Polska transformacja zatrzymała się przed drzwiami zespołu orzekającego.

Dawniej człowiek siedział w kolejce na drewnianej ławce, dziś czeka pod plazmowym telewizorem, na którym samorząd wyświetla film o dostępności. Szubrycht proponuje, aby miasta i powiaty przestały wydawać pieniądze na podobną propagandę i zaczęły płacić osobom niepełnosprawnym za udział w komisjach. Skoro administracja koniecznie chce co kilka lat oglądać amputacje i nieuleczalne choroby, powinna przynajmniej wynagradzać ludzi za występy w tym urzędowym teatrze.

Hania Barczak także musiała w nim zagrać. Nie miała jednak czasu czekać, aż system zmądrzeje. Jako 17-latka usłyszała diagnozę: mięsak Ewinga kości udowej. Przyszły przerzuty, chemioterapia, radioterapia, operacja, wymiana kości udowej i fragmentu biodra, a wreszcie udział w badaniu klinicznym. Choroba uwinęła się w niespełna rok. Administracja miała w tym czasie przeczytać dokumentację i wypłacić świadczenie wspierające. Nie zdążyła.

Hania zmarła 10 stycznia 2026 r. Komisja, która miała ocenić, czy ciężko chorej dziewczynie należy się pomoc, planowała zająć się jej sprawą dopiero kilka miesięcy później. Matce pozostało podać urzędnikom nowy adres córki: „sektor F XXI, rząd 8, kwatera 3”.

Świadczenie wspierające może wynosić maksymalnie 4327 zł miesięcznie. Decyzja powinna zostać wydana w ciągu trzech miesięcy, lecz ludzie czekają na nią nawet kilkanaście. Ich przypadki najczęściej nie wymagają prowadzenia śledztwa. Z dokumentacji wynika, że nie chodzą, mają zaawansowane nowotwory albo potrzebują całodobowej opieki. Urząd musi mimo to sprawdzić, czy ktoś nie próbuje wyłudzić od Rzeczypospolitej kilku tysięcy złotych, zanim umrze.

Hani przyznano najpierw umiarkowany stopień niepełnosprawności. Dopiero po odwołaniu komisja uznała stopień znaczny. Kiedy dziewczyna skończyła 18 lat, wcześniejsze uprawnienia wygasły i całą procedurę należało rozpocząć od początku. Polska administracja najwyraźniej wierzy, że człowiek może jednego dnia być ciężko chorym dzieckiem, a następnego stać się samodzielnym dorosłym.

Formularz pyta między innymi, czy chory potrafi umyć zęby i włosy. Wypełnia się go przez internet, potem drukuje, podpisuje, skanuje i ponownie wysyła drogą elektroniczną. Służy do tego portal Empatia. Ktoś w administracji ma osobliwe poczucie humoru.

Po nagłośnieniu historii Hani ministra pracy Agnieszka Dziemianowicz-Bąk zapowiedziała zmianę przepisów. Resort rozważa wprowadzenie szybkiej ścieżki dla ludzi młodych, terminalnie chorych oraz cierpiących na choroby szybko postępujące. Projekt zdążył już zyskać nazwę ustawy Hani. Każda poprawa będzie cenna, ale trudno przeoczyć, że w Polsce przepisy społeczne często otrzymują ludzkie imię dopiero po czyjejś śmierci.

Samo zachorowanie i złożenie wniosku nie wystarcza, by uruchomić intensywne prace, konsultacje oraz analizy. Potrzebna jest jeszcze tragedia, rodzina gotowa walczyć i zainteresowanie ogólnopolskich mediów.

Szybka ścieżka dla najciężej chorych jest konieczna, ale nie zastąpi naprawy całego systemu. Urzędy już dziś powinny rozpatrywać wnioski o ustalenie poziomu potrzeby wsparcia w ciągu trzech miesięcy. W praktyce chorzy czekają na decyzję nawet ponad rok. Ci, których stan pogarsza się wolniej, również potrzebują pieniędzy na leki, opiekę i codzienne życie. Człowiek sparaliżowany nie może trafiać na koniec kolejki tylko dlatego, że prawdopodobnie nie umrze przed przyjazdem komisji. Państwo nie naprawi systemu, tworząc osobną kolejkę dla ludzi, których trzeba obsłużyć, zanim będzie za późno.

Mama Hani powiedziała, że nie walczyła o cud, lecz o godność. Urzędnicy wymagali jednak niemożliwego: dziewczyna musiała być dostatecznie chora, aby otrzymać świadczenie, a zarazem żyć dostatecznie długo, by doczekać komisji. Nie doczekała. Za życia była dla państwa kosztem oraz petentką, której należało patrzeć na ręce. Po śmierci może zostać patronką ustawy.

DAMIAN DUSZCZENKO

Rys. OBYWATEL JANEK

eprasa.pl 637fc21c80

Przekręt na pilota

Po kilkunastu latach negocjacji z liniami lotniczymi Komisja Europejska uznała, że z koniem się kopać nie będzie

Niemądrzy ludzie sądzą, że żeby kogoś pozbawić pieniędzy, trzeba do niego zadzwonić, udając krewnego, policjanta albo prokuratora, licząc, że spanikowany emeryt wyniesie kopertę przed blok. Tyle że to głupie i ryzykowne. Bo przecież, żeby kogoś okraść, wystarczy sprzedać mu bilet lotniczy. Najlepiej przez pośrednika, na tanią trasę, kilka miesięcy przed wylotem, i to taką, którą linia lotnicza dopiero zamierza uruchomić. Potem wystarczy spokojnie poczekać, aż życie, zarząd, paliwo, opłaty lotniskowe, brak samolotów, remont silników, konflikt z portem albo „optymalizacja siatki połączeń" zrobią swoje i lot zostanie odwołany. Różnica między metodą na wnuczka a branżą lotniczą polega więc na tym, że w pierwszym przypadku policja ściga sprawcę, a w drugim konsument dostaje maila zaczynającego się od „przepraszamy za niedogodności".

Po co pośrednik?

Linie lotnicze mają własne strony internetowe, aplikacje, systemy rezerwacyjne i komunikaty o tym, że najlepiej kupować bilet bezpośrednio u nich. Jednocześnie te same bilety można znaleźć na dziesiątkach portali pośredniczących, i to dużo taniej. Bilety LOT-u u szwedzkiego pośrednika są tańsze nawet o 10 proc. niż na oficjalnej stronie PLL. Tak samo ma nawet Wizzair.

Rodzi się więc proste pytanie: skoro linia lotnicza może sprzedać bilet sama, to po co dopuszcza pośredników, którzy biorą prowizje, generują chaos i potem jeszcze stają między pasażerem a przewoźnikiem, gdy trzeba oddać pieniądze? Dlatego otóż, że pośrednik jest dla linii lotniczej wygodnym filtrem i bezpłatnym działem windykacji cudzych nerwów.

Unia Europejska od lat przypomina firmom sprzedającym bilety, że oddawanie pieniędzy po anulowanym locie nie powinno nosić znamion katorgi. Komisja Europejska już w 2023 r. ogłaszała zobowiązania dużych internetowych biur podróży, zgodnie z którymi po otrzymaniu zwrotu od linii miały przekazywać pieniądze konsumentowi w ciągu siedmiu dni, tak aby pasażer dostał je maksymalnie po 14 dniach od wyboru zwrotu. Gdyby system działał normalnie, komisja nie musiałaby z triumfem informować, że przedsiębiorcy obiecali robić coś, co każdy uważa za elementarną uczciwość.

Ale to były wyjątki. Zasadą jest, że pasażer kupuje bilet u pośrednika, płaci kartą i ma wrażenie, że zawarł transakcję. Gdy linia kasuje lot, powinna zwrócić pieniądze za bilet. Tyle że pieniądze płaci po paru tygodniach, i to pośrednikowi, bo to on obsługiwał płatność albo rezerwację. Pośrednik następnie oddaje kasę klientowi po kolejnym miesiącu, a na dodatek wszystko to trzeba na pośredniku wymusić niekończąca się korespondencją. Ba, dostaje się niecałą kasę, bo oczywiście pośrednik ma swoje opłaty i taryfy, które z reguły wynoszą od 5 do 10 proc. ceny biletów.

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej musiał w 2026 r. wyjaśnić rzecz, która w świecie nielotniczym nie wymagałaby doktoratu z prawa. Jeśli lot zostaje odwołany, zwrot powinien obejmować całość ceny zapłaconej przez pasażera, także opłatę agencyjną albo prowizję pobraną przez pośrednika działającego przy sprzedaży biletu, nawet jeśli linia twierdzi, że nie zna dokładnej wysokości tej opłaty. Nie można przecie klientowi powiedzieć, że kupił bilet za jedną kwotę, ale zwrócona mu zostanie mniejsza, bo reszta rozpłynęła się w cyfrowych trzewiach portalu. To musiał rozstrzygać sąd unijny. I teoretycznie lepiej by było, gdyby pośrednicy zamiast ze Zjednoczonego Królestwa byli z Unii, czego oczywiście na stronach pośrednika się nikt nie dowie, tak jak i nie pozna maila do centrali firmy. Za to każdy pośrednik będzie uszczęśliwiał pechowego podróżnego przyjemnością pogadania ze sztuczną inteligencją na czacie. Po angielsku oczywiście.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Odwoływacze

Jeszcze ciekawiej robi się, gdy tania trasa nie zdąży nawet na dobre wystartować. Jet2 skasował pięć nowych tras z Bournemouth planowanych na lato 2026 r. Firma zapewniła oczywiście, że klienci dostaną pełne zwroty. Tyle że przez pewien czas ich pieniądze były już w obrocie, rezerwacje urlopowe były porobione, a cała reszta kosztów, których nie obejmuje bilet anulowanej linii, pozostała po stronie pasażera.

AirBaltic skasował sezonową trasę Aberdeen–Ryga, tłumacząc to niedoborem samolotów spowodowanym opóźnieniami w serwisie silników. Chodziło o 4670 lotów i około 67 160 pasażerów, którym zaoferowano zmianę rezerwacji albo pełny zwrot. Ryanair w 2025 r. ogłaszał z kolei cięcia 800 tys. miejsc i 24 tras w Niemczech, zwalając to na wysokie koszty dostępu do lotnisk. Z punktu widzenia linii to korekta siatki. Z punktu widzenia pasażera, który wziął urlop w pracy i bezzwrotnie porezerwował co się da, jest to kradzież.

Jeśli anulowano lot, klient może dostać zwrot za anulowany odcinek albo zmianę podróży. Jeśli jednak sam kupił osobny bilet, żeby dolecieć na lotnisko, z którego miał wystartować tani lot, to może się z kasą za te bilety pożegnać. Wszak osobne rezerwacje są traktowane jako osobne kontrakty, a gdy anulowany lot powoduje utratę połączenia kupionego oddzielnie, pasażer nie odzyska kosztów tych dodatkowych podróży. Czyli linia odda pieniądze za własny bilet, ale nikt nie odda człowiekowi pieniędzy za to, że zapłaciło się za lot do miejsca, z którego linia obiecała go zabrać.

I tu właśnie kończy się turystyka, a zaczyna inżynieria finansowa. Klient widzi bilet za 99 zł, 149 zł albo 199 zł i myśli, że znalazł okazję. Potem dolicza dojazd do odległego lotniska, powrót i nocleg. Gdy lot znika z rozkładu, linia mówi, że przecież zwraca cenę biletu. Pośrednik mówi, że przecież obsłużył usługę. Hotel, że rezerwacja była bezzwrotna. Wszyscy mają rację i tylko pasażer jest w plecy na całkiem sporą kasę. Na odwołanym przez tanią linię locie zarabiają jednak linie, którymi chciało się na ten lot dostać. I to 100 proc. ceny biletu. Pośrednik zarabia też, i to raz prowizję za sprzedaż odwołanego lotu, a drugi raz za zwrot. Wszyscy są zadowoleni. Prócz przekręconego pasażera.

Biznes klasa

Dlatego porównanie z metodą „na wnuczka" jest dla branży lotniczej krzywdzące. Przy wnuczku sprawca musi się napracować, wymyślić historię, utrzymać napięcie i liczyć, że ofiara nie zadzwoni do rodziny. W lotnictwie komercyjnym wystarczy regulamin, pośrednik, dynamiczna siatka połączeń i kilka akapitów napisanych językiem tak uprzejmym, że człowiek zaczyna przepraszać firmę za to, że chciał polecieć. Złodziej „na wnuczka" ryzykuje kajdanki. Korporacja – co najwyżej aktualizację procedur zwrotu środków.

Oczywiście nie każda anulowana trasa jest przekrętem. Samoloty się psują, silniki wymagają serwisu, wojny zamykają przestrzeń powietrzną, lotniska podnoszą opłaty, a popyt bywa mniejszy niż marzenia działu sprzedaży. Problem nie polega na tym, że linie lotnicze czasem kasują loty. Problem polega na tym, że

zbudowano system, w którym ryzyko planowania, dojazdów, osobnych rezerwacji i prowizji pośredników przerzuca się na pasażera, a gotówka może przez tygodnie albo miesiące krążyć po cudzych kontach. Linie twierdzą, że sprzedają podróż, tymczasem sprzedają jedynie nadzieję, że podróż się odbędzie.

Są też linie lotnicze, które choć publicznie zwalczają pośredników, potrafią być częścią tej samej układanki. Ryanair od lat kłóci się z internetowymi biurami podróży, oskarżając je o narzuty i utrudnianie kontaktu z pasażerami, ale włoski urząd konkurencji w 2025 r. nałożył na przewoźnika 256 mln euro kary za nadużywanie pozycji dominującej i strategię ograniczania sprzedaży przez pośredników. Czy ktoś coś w tym jeszcze rozumie?

Prócz tego oczywiście, że nowoczesne okradanie ludzi nie wymaga kaptura ani łomu, a ładnej strony internetowej, tabeli opłat, promocji za 99 zł, trasy „już wkrótce" i anulowania wysłanego eleganckim mailem. Potem można długo obracać forsą, zatrzymać część opłat, przeprosić za niedogodności i zaprosić pasażera do ponownej rezerwacji. Bo w lotnictwie, tak jak w bankowości, najważniejsze jest to, żeby klient wrócił. Po to, żeby znowu dało się go dokądś nie dowieźć.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

W Zakopanem, stolicy kiczu, natura postanowiła dostosować się do poziomu otoczenia. Po Krupówkach paraduje łania przyozdobiona plastikową pokrywą od śmietnika, która zakleszczyła się jej na szyi. To nie jest zwykły wypadek – to nowa zakopiańska linia biżuterii dla fauny, idealnie komponująca się z wszechobecnym plastikiem i tandetą. Lokalne służby przez trzy godziny uprawiały jogging za zwierzęciem, co zakończyło się fiaskiem. Weterynarz uznał, że skoro plastikowy kołnierz nie przeszkadza w przeżuwaniu, to problemu nie ma.

Kolejna odsłona narodowej tragedii, tym razem w kolorze ciemnego fioletu. Portal Spożywczy bije na alarm, bo polską uświęconą ziemię zalała bezczelna borówka z Peru i Zimbabwe. Okazuje się, że owoc, który musiał przelecieć pół globu lub przetrwać rejs przez ocean, jest tańszy niż ten wyhodowany pod Grójcem przez lokalnego potentata jagodowego. Nasi plantatorzy umierają z patriotyzmem gospodarczym na ustach.

W radomskim Urzędzie Pracy uprawiano seks. „Wyborcza" pisze o „dwojgu pracownikach", co jest uogólnieniem mglistym, że aż prowokującym do domysłów o konfigurację płciową. Dyrektor UP rozwiązał umowy z podejrzanymi za porozumieniem stron na podstawie „odgłosów". To nowa kategoria w prawie pracy: dowód ze słuchu. Wyrzucanie ludzi z posady, bo koledzy zza ściany mają zbyt wybujałą wyobraźnię akustyczną i ucho przyłożone do tynku, to szczyt biurokratycznego zakłamania. W Radomiu najwyraźniej jedynym dopuszczalnym dźwiękiem w urzędzie jest chrapanie nad stosem akt lub siorbanie letniej kawy.

W Lublinie radny Konrad Wcisło zaparkował na miejscu dla niepełnosprawnych, posługując się kartą swojego ojca. Przy okazji zapomniał o kierunkowskazie, co u polityka jest szczerością aż nadto wymowną – po co ma niby pokazywać, w którą stronę kręci? Gdy przyuważył go mieszkaniec Lublina Seweryn Szczepaniak, a portal Jawny Lublin opisał, radny sam zgłosił się na policję. Zapłacił łącznie 1300 zł i zainkasował 10 punktów karnych. Czyli mandaty opłacone, honor uratowany, no a wniosek jest taki, że z elektoratem rzeczywiście nie warto zadzierać.

MSWiA urodziło nowe logo Policji. To intelektualny Mount Everest: na dotychczasowej gwieździe umieszczono napis „POLICJA". Operacja wymiany tabliczek ma trwać 10 lat. Resort bez mrugnięcia okiem zapewnia, że to nic nie kosztuje. To kłamstwo tak bezczelne, że aż piękne. Sprawdziliśmy: nową „blachę" można kupić na Allegro za 47 zł. Tyle właśnie kosztuje dziś w Polsce autorytet władzy. Mniej niż kilogram przyzwoitej szynki. Za pół stówki każdy może poczuć się stróżem prawa, co zresztą oddaje stan bezpieczeństwa w państwie rządzonym przez amatorów darmowych liftingów.

Minister Cyfryzacji daje czas do 30 września na składanie wniosków o utworzenie Lokalnych Centrów Cyberbezpieczeństwa. To oferta wyłącznie dla samorządów, które dotąd chroniły swoje dane głównie za pomocą hasła „admin1". Według raportów NASK w 2025 r. w samorządach odnotowano 3249 incydentów. Oznacza to, że średnio dziewięć razy dziennie jakiś urzędnik, znudzony przeglądaniem pism o wywóz nieczystości, kliknął w link obiecujący darmowe wczasy lub spadek po nigeryjskim księciu, otwierając wrota cyfrowej otchłani. Do rozdania jest 270 mln zł. Każda gmina może wyszarpać od 1 do nawet 15 mln zł. Pieniądze można wydać na sprzęt, oprogramowanie, audyty i – co najciekawsze – na zatrudnienie specjalistów. Przewidujemy nagły wzrost zainteresowania informatyką wśród kuzynów lokalnych włodarzy, którzy dotąd potrafili jedynie zrestartować router.

Minister Domański od finansów i gospodarki postanowił wysłać górników w kosmos, nie ruszając ich z Katowic. W kopalni „Wujek" za pół miliarda złotych ma powstać Centrum Technologii Kosmicznych, gdzie podziemia będą udawać Marsa. To genialne: w Katowicach i tak od dawna brakuje tlenu, więc warunki planetarne są niemal identyczne. Koncepcję opracował dr Tomasz Rożek. Obiecywanie Marsa w dziurze w ziemi to ten sam poziom abstrakcji co budowa szybu wydobywczego na Księżycu. Z tą różnicą, że na Księżycu przynajmniej nie ma związków zawodowych, które mogłyby spalić opony pod biurem ministra.

Rafał Trzaskowski w napadzie ekologicznego szału zmienił centrum Warszawy w skansen dla wielbicieli mchu i paproci. W kwadracie ulic Złotej, Zgody, Jasnej i Sienkiewicza, niegdyś tętniącym życiem i spalinami, po dwóch latach ciężkich robót, za jedyne 60,5 mln zł z publicznej kiesy, udało się osiągnąć stan, który nasi przodkowie mieli za darmo, zanim wynaleźli koło. Szczytem inżynieryjnej finezji okazało się zasypanie tunelu pod ulicą Marszałkowską. To swoisty pomnik inżynierii wstecznej – pogrzebano beton, by na jego grobie postawić sadzawkę, w której Warszawiacy będą mogli utopić resztki nadziei na szybki przejazd przez miasto. Mamy do czynienia z fascynującą amplitudą dziejów. Kiedyś wycinano lasy, by budować miasta. Dziś, w ramach postępu, wycina się miasta, by sadzić w nich lasy i hodować komary za miliony. To triumf estetyki nad logiką. Brawo. Czekam teraz na kolejny etap modernizacji: wyburzenie Pałacu Kultury i posadzenie w jego miejscu gigantycznego rzepaku. Będzie nowocześnie, zielono i, co najważniejsze, kompletnie bez sensu.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Leszek Balcerowicz, naczelny rachmistrz III RP, znowu wyciągnął liczydło, żeby nas przerazić. Jego Forum Obywatelskiego Rozwoju wyliczyło, że państwo przepuszcza 2 bln zł, czyli ponad 53 tys. na każdego statystycznego obywatela. Najwięcej pożerają emeryci. 14,7 tys. zł na głowę. To cena za to, że ludność uparcie odmawia masowego wymierania zaraz po przejściu na spoczynek. Najszybciej puchnie jednak koszt obsługi długu, co profesora boli najbardziej. Ta litania grozy to raczej wołanie o atencję byłego wicepremiera, który cierpi na jej dotkliwy deficyt. Groza jest najtańszym paliwem dla politycznych emerytów.

W Trzebnicy odkryto nowatorski system finansowego krążenia zamkniętego, który mógłby stać się tematem pracy doktorskiej z dziedziny kreatywnej księgowości, gdyby nie fakt, że zajęła się nim prokuratura z Opola. Burmistrz Marek D. usłyszał zarzuty, z których wynika, iż uprawiał specyficzny rodzaj urzędniczego recyklingu: najpierw dawał podwładnym nagrody, a potem – jak twierdzą śledczy – oczekiwał, że część tych pieniędzy wróci do właściwej kieszeni. To piękny przykład partnerstwa publiczno-prywatnego w skali mikro. Zatrzymany burmistrz natychmiast zapadł na klasyczną polską przypadłość – nagłą alergię na wymiar sprawiedliwości objawiającą się ucieczką na zwolnienie lekarskie. W latach 2017–2026 ratuszowa elita w Trzebnicy wypłaciła sobie blisko pół miliona złotych nagród. Za co? Tego nie wie nikt, nawet sami nagrodzeni.

Nasza dzielna Marynarka Wojenna odnotowała kolejny spektakularny sukces, tym razem w starciu z bezlitosną grawitacją i brytyjskim obżarstwem. Oto nad Bałtykiem rozegrał się dramat. Na luksusowym wycieczkowcu „Ambition" lekarz pokładowy odkrył, że jedna z turystek posiada „chorobliwą nadwagę". Zamiast podać jej herbatę przeczyszczającą, wezwał na pomoc polskie siły powietrzne. Gdyńska Brygada Lotnictwa, nie mając akurat na horyzoncie żadnego rosyjskiego niszczyciela do odstraszenia, wysłała flagowy śmigłowiec Anakonda. Operacja pod kryptonimem „Wieloryb" przebiegała zgodnie z procedurami: maszyna zawisła nad statkiem, ratownik zjechał na linie, spojrzał na pacjentkę i doznał szoku poznawczego. Okazało się, że 200 kg żywej wagi to dla naszej techniki wojskowej bariera nie do przebicia. Po krótkiej analizie matematycznej, z której wynikło, że pani nie zmieści się w drzwiach, a wyciągarka mogłaby wyzionąć ducha, dzielni lotnicy wykonali… odwrót. To piękna metafora całej naszej armii: mnóstwo huku, drogi sprzęt, liny, mundury, a na końcu i tak okazuje się, że przeciwnik – w tym przypadku nadmiar tkanki tłuszczowej – jest po prostu za duży, by go ruszyć.

RJ

PS To, co tu wyżej napisaliśmy, znaleźliśmy w różnych gazetach i w internecie. My sami nie sprawdzaliśmy, czy to wszystko jest naprawdę prawdą. Może jest, a może nie jest. My tylko powtarzamy, co inni napisali, więc jak coś się nie zgadza, to proszę nie mieć pretensji do nas.

eprasa.pl 637fc21c80

Bogacenie się najszybszą drogą do biedy

Stado sępów

Gdyby jednak wciąż ktoś wierzył w ekonomicznych guru, to powinien pamiętać, jak w 2006 r. Bill Gates podsumował to towarzystwo takimż oto zdaniem: „Gdyby ekonomiści mieli jakiekolwiek pojęcie o biznesie, byliby bogatymi ludźmi, nie doradcami bogatych ludzi”.

Człowiek wpisuje w wyszukiwarkę: „Co zrobić z oszczędnościami?”, „Jak zacząć inwestować?” albo „Gdzie ulokować 10 tys. zł?” i natychmiast trafia do świata, w którym niemal każdy chce zostać jego finansowym przewodnikiem. Jedni przedstawiają się jako edukatorzy, inni jako eksperci od budowania majątku, jeszcze inni jako niezależni doradcy. Banki mają własne akademie inwestowania, fundusze inwestycyjne przygotowują poradniki dla początkujących, portale ekonomiczne publikują całe cykle materiałów o tym, gdzie złożyć zaskórniaki, domy maklerskie organizują webinary, a firmy zarządzające aktywami nagrywają podcasty. Nigdy wcześniej Polak nie miał tylu ludzi gotowych troszczyć się o jego pieniądze.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Kup pan cegiełkę

Ale niemal nikt nie zachęca do pozostawienia pieniędzy tam, gdzie leżą. Człowiek dowiaduje się bowiem, że powinien określić swój profil ryzyka, zbudować portfel, wybrać odpowiednie fundusze, zainteresować się ETF-ami, otworzyć IKE lub IKZE, kupić obligacje, złoto albo nieruchomość. Samo takie doradztwo nie jest niczym niewłaściwym, pod tym wszakże warunkiem, że czytelnik wie, kto finansuje stronę czy portal, z którego czerpie się tę wiedzę.

Największe portale ekonomiczne utrzymują się przecież z reklam banków, domów maklerskich, funduszy inwestycyjnych i firm ubezpieczeniowych. Obok artykułu o rozsądnym inwestowaniu pojawia się reklama rachunku maklerskiego. Wywiad z ekspertem sąsiaduje z kampanią promującą fundusz inwestycyjny. Materiał edukacyjny okazuje się partnerstwem z konkretną instytucją finansową. Coraz popularniejsze stają się także artykuły sponsorowane oznaczane jako „materiał partnera”, „artykuł komercyjny” albo „publikacja przygotowana we współpracy z...”. Nie oznacza to automatycznie, że zawarte w nich informacje są fałszywe. Oznacza jedynie, że warto pamiętać, kto zapłacił za ich przygotowanie.

Podobny mechanizm działa w świecie finansowych influencerów. Wielu z nich wykonuje ogromną pracę edukacyjną, tłumacząc Polakom pojęcia, których szkoła nigdy ich nie nauczyła. Uczą różnicy między akcją a obligacją, wyjaśniają działanie ETF-ów, pokazują, czym są IKE i IKZE oraz dlaczego warto odkładać pieniądze regularnie. Trudno odmówić wartości takim materiałom. Jednocześnie jednak znaczna część twórców internetowych utrzymuje się z programów partnerskich, współprac reklamowych, poleceń konkretnych rachunków maklerskich, aplikacji inwestycyjnych czy produktów finansowych. Im więcej osób założy rachunek z ich linku, tym większe mogą być ich przychody. To nie jest zarzut. To po prostu model biznesowy.

Dlatego język takich publikacji jest niezwykle podobny. Czytelnik ma odnieść wrażenie, że inwestowanie jest prostsze niż kiedykolwiek wcześniej. Nie trzeba kończyć ekonomii i godzinami analizować wykresów. Wystarczy pierwszy krok i aplikacja w telefonie. Największym zaś ryzykiem jest nieinwestowanie.

Prawie każdy poradnik zaczyna się od niewielkich kwot. „Masz 2 tysiące? Zacznij inwestować”. „Masz 5 tysięcy? To już wystarczy”. „Dostałeś 10 tysięcy premii? Nie trzymaj ich na koncie”. Psychologicznie działa to znakomicie. Człowiek dochodzi do wniosku, że skoro do świata inwestycji może wejść każdy, to szkoda zwlekać.

Nie ma mowy o tym, że niemal wszyscy instytucjonalni uczestnicy rynku zarabiają na kliencie. Bank zarabia, gdy klient otwiera konto. Dom maklerski, gdy kupuje i sprzedaje papiery. Towarzystwo funduszy inwestycyjnych, gdy powierza się mu swoją kasę. Portal finansowy zarabia na reklamach tych instytucji albo na współpracach komercyjnych. Twórca internetowy może zarabiać na programach partnerskich. Jedyną osobą, która nie ma gwarancji żadnego zarobku, pozostaje właściciel pieniędzy. To on jako jedyny bierze na siebie całe ryzyko rynku.

Koryfeusze biznesu

Każdy, kto widzi porady ekonomiczne, winien pamiętać, że ekonomiści tak się mają do ekonomii jak meteorolodzy do pogody. Potwierdzają dziesiątki przykładów, z których najsłynniejsze są dwa – jeden z Wall Street, a drugi z naszego podwórka.

Na początku lat 90. czwórka ekonomicznych noblistów założyła fundusz LTCM. Zasobny w gotówkę naród amerykański lgnął do nich jak do miodu. Zwłaszcza że na początku odnieśli ogromny sukces – w 1995 r. fundusz osiągnął 63-procentową stopę zwrotu, w 1996 – ponad 50-procentową. Po kolejnych dwóch latach biznes zanurkował, notując 312 mln dol. w plecy. Potem było już tylko gorzej. Po następnych kilku latach spłaceniem zobowiązań funduszu zajęły się władze federalne. Kosztowało to amerykańskich podatników 3,6 mld dol.

Minęło następne kilka lat i w kraju nad Wisłą objawił się guru ekonomiczny w osobie profesora Krzysztofa Rybińskiego. Objawił się – to może zbyt wiele. Rybiński wcześniej robił już bowiem za wiceszefa NBP. Jednak popularność zdobył, wygłaszając setki komentarzy ekonomicznych, gdzie i kiedy się dało. Tę popularność wypadało jednak zdyskontować. Wpadł zatem na pomysł stanięcia na czele funduszu o nazwie Eurogeddon. Jego filozofia była prosta: euro musi upaść, a skoro tak, to będzie można zarobić krocie, grając na jego spadku. Nazwisko Rybińskiego zrobiło swoje i inwestorzy dopisali. Na starcie funduszu w roku 2012 wartość jednego udziału była warta nawet 15 zł. Potem leciała na pysk. Euro trwało, a notowania pikowały, przekraczając kolejne bariery psychologiczne, by osiąść na wycenach w okolicach 5 zł. I im bardziej spadały, tym mniej Rybińskiego było w mediach. Co jednak nie znaczy, że w swoim jednostkowym wymiarze Rybiński na pomyśle nie zarobił.

Skarbonkożercy

Pieniądze, które spokojnie leżą na rachunku, nikomu poza właścicielem krzywdy nie robią. Owszem, inflacja zjada ich siłę nabywczą, ale przynajmniej prowizji od zarządzania nikt za nie nie pobiera. Zupełnie inaczej jest, gdy klient uwierzy, że jego oszczędności powinny „pracować”. To jedno z ulubionych słów branży finansowej, bo nikt przecież nie chce być posiadaczem pieniędzy leniwych. W społecznościówkach roi się od filmików zaczynających się od pytania: „Czy twoje pieniądze naprawdę dla ciebie pracują?”. Samo pytanie brzmi rozsądnie, jednak warto zadać drugie: „Dla kogo będą pracowały przede wszystkim?”.

Odpowiedź zna każdy, kto choć raz przeczytał sprawozdanie finansowe banku albo towarzystwa funduszy inwestycyjnych. Tam nie ma cudów, są za to prowizje od zarządzania, opłaty manipulacyjne, marże, wynagrodzenia za obsługę aktywów, przychody z dystrybucji produktów finansowych i cały katalog pozycji, których nigdy nie zobaczymy w reklamie. Im więcej pieniędzy uda się wyciągnąć z nieoprocentowanych rachunków i skierować do produktów inwestycyjnych, tym większy strumień przychodów popłynie do sektora finansowego.

A Polacy mają z czego odkładać. Według NBP na koniec maja gospodarstwa domowe trzymały w bankach ponad 1,5 bln zł. Przedsiębiorcy dorzucali do tego kolejne blisko 600 mld. Razem mniej więcej tyle, ile wynosi cały roczny PKB Polski. Z owych ponad 1,5 bln zł aż około 1,1 bln spoczywa na rachunkach bieżących. Czyli tam, gdzie bank nie płaci za ich przechowywanie, a wręcz przeciwnie – każe sobie za to płacić. Na lokatach terminowych znajduje się około 420 mld zł. 83 proc. dorosłych Polaków deklaruje posiadanie oszczędności. Co trzeci jednak ma rezerwę wystarczającą najwyżej na miesiąc życia, gdyby nagle zabrakło dochodów. Tylko co czwarty zgromadził zapas pozwalający przetrwać przynajmniej pół roku. Rekordowe oszczędności nie oznaczają więc powszechnego bogactwa, ale to, że część społeczeństwa zgromadziła bardzo duże nadwyżki, podczas gdy pozostali nic nie mają na czarną godzinę. Ale i na nich sektor finansowy łypie łakomie.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie w dobrobycie

● Jeszcze pod koniec lat 90. przekonywano nas, że wystarczy uczciwie pracować, odkładać pieniądze i cierpliwie czekać na emeryturę, aby później wygrzewać się pod palmami z drinkiem w dłoni. Mijają kolejne lata i coraz trudniej znaleźć kogoś, kto w takie opowieści jeszcze wierzy. Zamiast biletów do ciepłych krajów setki tysięcy starszych ludzi trafiają dziś do rejestrów dłużników. Skalę problemu pokazują dane BIG InfoMonitor. Na koniec kwietnia tego roku zaległe zobowiązania miało już ponad 345 tys. osób, które ukończyły 65 lat. Łączna wartość ich długów sięgnęła niemal 11,8 mld zł. Gdy podzielić tę sumę przez liczbę zadłużonych seniorów, okaże się, że przeciętnie każdy z nich ma do oddania ponad 34,1 tys. zł. Największą część zadłużenia stanowią kredyty, zaległości wobec banków wynoszą 7,43 mld zł. Pozostałe 4,36 mld zł to nieopłacone rachunki za prąd, gaz, telefon, czynsz, wodę czy inne usługi, z których trudno zrezygnować. Co ciekawe, ponad 70 proc. takich długów nie przekracza 5 tys. zł. To pokazuje, że wielu seniorów nie wpada w finansowe tarapaty dlatego, że zaciągnęli ogromny kredyt na luksusowy samochód czy egzotyczną podróż.

● Trwa w Polsce publiczne zaglądanie do portfeli lekarzy. Dlaczego nie zrobić tego samego z inną grupą zawodową ratującą ludzkie życie? Bo przecież strażacy Państwowej Straży Pożarnej również każdego dnia często jako pierwsi rozpoczynają walkę o życie ludzkie jeszcze przed przyjazdem karetki, a prócz tego gaszą pożary, wycinają ludzi z rozbitych samochodów, wyciągają tonących z rzek, usuwają skutki wichur i neutralizują niebezpieczne substancje. A ile płaci państwo za taką służbę? Różnie, bo PSP podzieliła funkcjonariuszy na 20 grup uposażenia. Najniższą stanowią stażyści, najwyższą – komendant główny. Przeciętne miesięczne wynagrodzenie strażaka stażysty wynosiło pod koniec zeszłego roku 6584 zł brutto. Najniższa wypłata w tej grupie sięgała 6111 zł brutto, najwyższa zaś 11 594 zł brutto. Dwóch funkcjonariuszy należących do tej samej grupy może otrzymywać wynagrodzenie różniące się niemal dwukrotnie. Nieco wyżej znajdują się technicy oraz ratownicy-kierowcy zaliczeni do czwartej grupy uposażenia. Ich przeciętne miesięczne wynagrodzenie wynosi 7176 zł brutto. Najniższa pensja w tej grupie to 6264 zł brutto, najwyższa natomiast 11 182 zł brutto. Średnia jest więc wyższa od przeciętnego wynagrodzenia stażysty o 592 zł, ale najwyższa pensja jest niższa. To najlepiej pokazuje, że w PSP sama nazwa stanowiska nie mówi jeszcze wszystkiego o pieniądzach. Naczelników wydziałów, głównych specjalistów, radców prawnych oraz specjalistów dziedzinowych zaliczono do 15. grupy. W ich przypadku wynagrodzenia mieszczą się już między 11 966 a 20 984 zł brutto miesięcznie. Na szczycie tabeli są zastępcy komendanta głównego dostający od 26 276 do 28 969 zł brutto miesięcznie i komendant główny z uposażeniem 31 757 zł brutto. I pewnie dlatego PSP nie narzeka na nadmiar ludzi do pracy. Blisko 1700 etatów jest nieobsadzonych, ale poszczególne remizy należą do państwa, a nie samorządów, więc nie walczą o strażaków tak jak zadłużone szpitale.

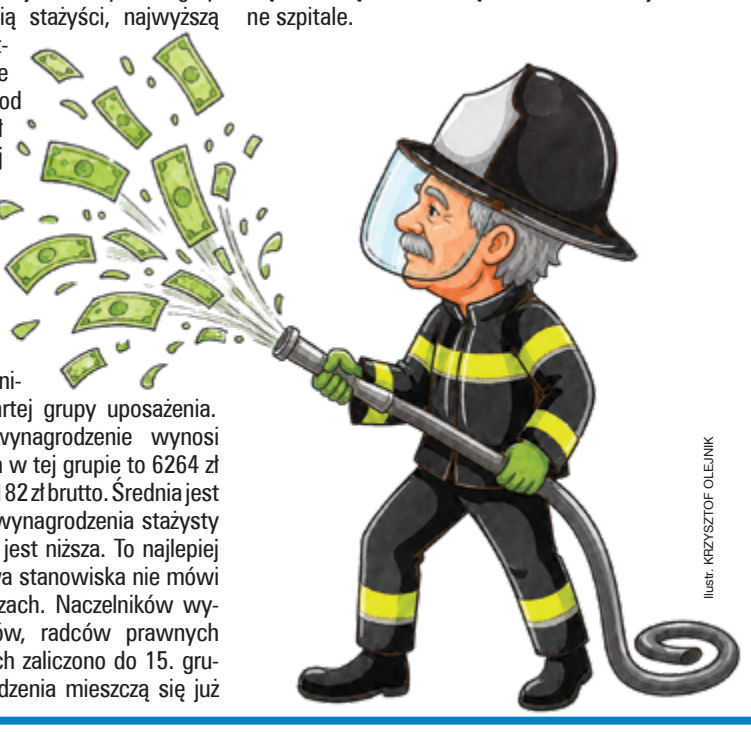

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Czescy kolejarze mają wyjątkowo grubą skórę. Jeszcze dobrze nie opadł kurz po wycofaniu się z Polski RegioJetu, a drugi czeski przewoźnik nie tylko nie zamierza zwijać interesu, ale właśnie planuje jego największą rozbudowę od chwili wjechania na nasze tory. Leo Express pojawił się w Polsce 1 marca 2026 r., uruchamiając połączenia na trasie Warszawa–Kraków, a następnie dalej do Pragi. Już w pierwszym miesiącu działalności przewiózł ponad 38 tys. pasażerów, z czego blisko 20 tys. podróżowało wyłącznie między Warszawą a Krakowem. Teraz Czesi starają się o przyznanie otwartego dostępu dla siedmiu nowych tras. Jeżeli im się uda, pociągi Leo Express będą kursować między Gdynią i Warszawą, Warszawą i Zakopanem, Warszawą i Krakowem, Warszawą i Wrocławiem, Gdynią i Łodzią, Wrocławiem i Przemyślem oraz Lublinem i Poznaniem. O co chodzi, skoro zaledwie kilka miesięcy wcześniej z polskiego rynku wycofał się RegioJet z powodu nieopłacalności? Leo Express uważa jednak, że porażka jednego gracza jeszcze nic nie oznacza. Firma podkreśla, że rozwój w Polsce jest elementem znacznie szerszej strategii ekspansji w Europie. Pociągi mają kursować z Przemyśla przez Rzeszów, Kraków, Pragę, Drezno i Lipsk aż do Frankfurtu nad Menem. Cała trasa liczy ponad 1300 km i ma połączyć wschodnią Polskę z zachodnią Europą. Polski rząd w tym czasie będzie łączył kolejowo jedne polskie miasta z innymi polskimi miastami, winszując sobie za bilety więcej, niż kosztuje benzyna dla osobówki na tej trasie.

● Nieustannie słyszymy, że polska gospodarka pędzi do przodu, że bezrobocie jest niskie, przedsiębiorstwa inwestują, a Polska pozostaje jednym z najstabilniejszych

eprasa.pl 637fc21c80

Łapy precz od rozumu

Suwerenni na cudzej ropie

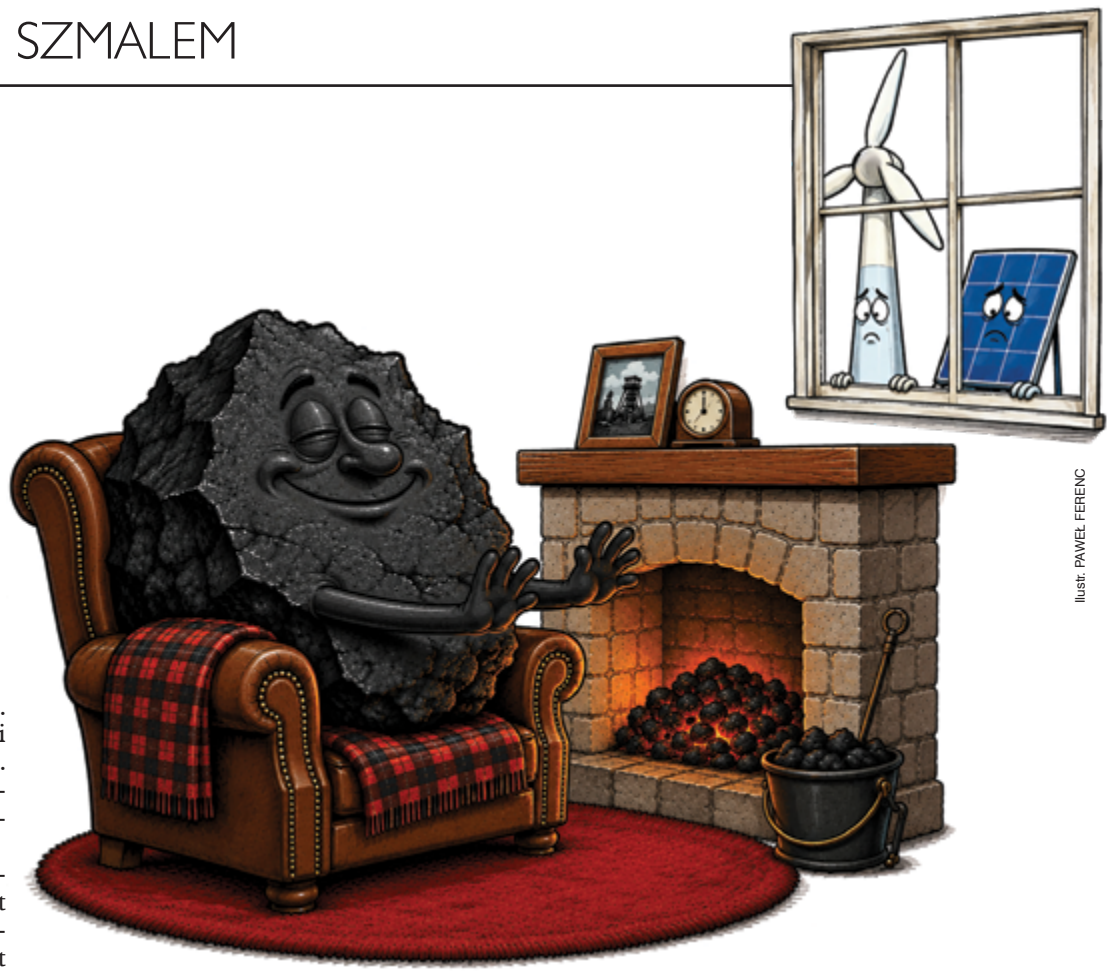

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Suwerenność to słowo, którym nasza prawica szafuje w mediach najczęściej i najgłośniej. Kiedy jednak dochodzi do suwerenności energetycznej, w praktyce wygląda ona mniej więcej tak: nie kupować ropy od Rosjanina, tylko od Saudyjczyka, gazu – nie ze Wschodu, tylko z Północy albo jeszcze lepiej zza oceanu, po czym zakomunikować narodowi, że oto jesteśmy niezależni.

W 2024 r. z zagranicy pochodziło 96–97 proc. zużywanej w Polsce ropy i około 82 proc. gazu. Za import paliw i surowców energetycznych zapłaciliśmy około 112 mld zł. Rosję rzeczywiście w znacznej mierze wyrzuciliśmy z interesu. W jej fotelu usiadły Arabia Saudyjska, Norwegia i USA. Zmieniliśmy właściciela smyczy i ogłosiliśmy, że pies jest wolny.

W tym samym czasie trwa narodowe nabożeństwo do węgla. Węgiel jest „nasz", więc z definicji dobry. Matka ziemia go urodziła, górnik wydobył, polityk pobłogosławił, telewizja pokazała Barbórkę, orkiestra zagrała – i ekonomia razem z klimatem mogą spierdalać. W 2025 r. przychody ze sprzedaży węgla wyniosły około 20,2 mld zł, a koszty jego wydobycia – ponad 30,6 mld. Strata na samej sprzedaży – 10,4 mld. Cały sektor zakończył rok stratą netto ponad 8 mld. Państwo w 2025 r. wydało około 9 mld zł na podtrzymywanie górnictwa. Gdyby tak pani Krysia prowadziła warzywniak, komornik wyniósłby jej wagę, skrzynki i pietruszkę. Ale kiedy w ten sposób prowadzi interes państwo polskie, nazywa się to „bezpieczeństwem energetycznym". A miliardy zamiast na modernizację Górnego Śląska i stworzenie szans rodzinom górniczym od lat idą z dymem.

Kabaret narodowych energetyków

I wtedy wchodzą oni – polscy „patrioci". Cała rewia narodowych polityków estradowych. Karol Nawrocki: „Łapy precz od polskiego węgla". Sławomir Mentzen: „Będziemy produkowali polski prąd z polskiego węgla i gazu, a nie z niemieckich wiatraków". Przemysław Czarnek, już całkiem poetycko: „Nie mamy żadnych oze-sroze, mamy nasz miks węglowy". Grzegorz Braun rozwija tę poetykę w kierunku nauk stosowanych: „wiatraki do mielenia ptaków", a fotowoltaika działa tylko w „eurokołchozowych urojeniach klimatycznych". Zbigniew Ziobro, człowiek organicznie uczulony na wszelkie przekręty, dostrzega zaś „mafijne opłaty ETS", „wielki szwindel" i Danię, która na zielonej energii rzekomo robi nas w bambuko. Człowiek słucha tego stand-upu i zaczyna podejrzewać, że fizyka została w Polsce objęta embargiem.

Bo w kraju, w którym Czarnek nie ma żadnych „oze-sroze", odnawialne źródła energii – OZE – miały na koniec 2025 r. 50,04 proc. mocy zainstalowanej i wyprodukowały 31,41 proc. energii elektrycznej. Fotowoltaika urosła z niespełna 4 GW w 2020 r. do prawie 25 GW pięć lat później. W czerwcu 2025 r. OZE po raz pierwszy w historii wyprodukowały w Polsce więcej prądu niż węgiel. Najwyraźniej panele, turbiny i elektrony nie czytają wystąpień pana Czarnka. Szkoda. Dowiedziałyby się, że nie istnieją.

Mentzen natomiast oznajmił: „Nie istnieje państwo z dużym udziałem OZE i tanią energią". Jest to zdanie z tej samej rodziny intelektualnej co: „kulistość Ziemi nie istnieje, skoro stoję i widzę, że jest płaska". Ceny energii są efektem miksu źródeł, stanu sieci, podatków, opłat, kontraktów i konstrukcji rynku, a nie magicznym skutkiem tego, że na horyzoncie stoi wiatrak. W dobie smartfonów łatwo sprawdzić, że w godzinach wysokiej produkcji fotowoltaiki ceny hurtowe potrafią wyraźnie spadać. Ale po co Mentzenowi system elektroenergetyczny, skoro ma dla nas w prezencie swoje zdanie.

Patriotyzm na fakturę

Najzabawniejsze jest jednak to, że ci sami „patrioci", którzy na widok Brukseli dostają suwerennościowej wysypki, proponują Polsce energetykę opartą na sprowadzaniu surowców. Ropa – import. Gaz – import. Nawet węgiel energetyczny importujemy, bo część krajowego bywa zwyczajnie za droga.

W 2024 r. Polska wydała na samą importowaną ropę netto około 60 mld zł, na gaz – ok. 26 mld. Arabia Saudyjska zarobiła na dostawach surowców i paliw do Polski prawie 33 mld zł. To ma być suwerenność? To raczej bełkot politycznej hewry pijanej narodową dumą.

Wojna Rosji przeciw Ukrainie powinna była zakończyć tę dyskusję. Putin pokazał Europie na wielkim ekranie, do czego służy zależność od paliw kopalnych: do szantażu. Europa zrozumiała przynajmniej część lekcji. Udział rosyjskiego gazu w imporcie UE spadł z około 45 proc. w 2021 r. do około 12 proc. w 2025, rosyjskiej ropy – z 27 proc. do około 2 proc. Jednocześnie OZE osiągnęły 47 proc. unijnego miksu elektrycznego już w 2024 r. To nie jest ekologiczne kadzidełko dla Ursuli von der Leyen. To jest polityka bezpieczeństwa. Im więcej energii z własnego wiatru, słońca, atomu i własnej infrastruktury, tym mniej gospodarka zależy od humoru Putina, księcia saudyjskiego, tankowca w Ormuzie czy amerykańskiego prezydenta.

Pieniądze, które miały coś zmienić

Polskie państwo miało zresztą pieniądze, żeby tę zależność zmniejszać. I tu zaczyna się fragment najbardziej polski, czyli taki, w którym nie potrzeba ani Brauna, ani Czarnka, bo państwo prawicowych liberałów również potrafi zrobić sobie krzywdę samo sobie, czyli nam.

Idiotyczne wypowiedzi cytowanych autorów to jedno nieszczęście. Hipokryzja libków to druga plaga. Niby są przeciw głupocie, ale żeby utrzymać dające im władzę emocjonalne napięcie politycznego duopolu, jakoś nie śpieszą z wyjaśnieniem narodowi, o co właściwie chodzi z opłatami za emisję CO_2, czyli systemem ETS.

To koncepcja przyjęta 2005 r. przez państwa UE. Przedsiębiorstwa emitujące dwutlenek węgla zmuszone są do wnoszenia do budżetu krajowego opłat za jego emisję. Ich wysokość zależy m.in. od skali tej emisji. W skutek działania tego mechanizmu mają być realizowane trzy główne cele: przeciwdziałanie ociepleniu klimatu; stworzenie w budżetach krajowych funduszy na modernizację energetyki, ograniczanie emisji, rozwój nowych źródeł energii; ekonomiczna presja na emitentów, skłaniająca do inwestycji w modernizację.

Większość narodu, jak sądzę, nie ma pojęcia, że opłaty z tytułu ETS trafiają do krajowego budżetu, a nie wędrują do jakiejś przepastnej kasy w Brukseli. Nie wie też, że nasi politycy mają w dupie wspieranie transformacji energetycznej – ta kasa rozpłynęła się w budżetowym worku kolejnych rządów. Nie rozumie, że brak dostatecznych rządowych inwestycji w ostatnich latach wspierających OZE i energetykę atomową jest jedną z przyczyn energetycznej drożyzny. Naród rozumie jedynie, że za ETS płaci w swoich rachunkach.

Gołym okiem widać, że od 2005 r. niewiele się działo. Potwierdzenia bierności rządów dokonała Najwyższa Izba Kontroli i policzyła, że w latach 2013–2023 Polska uzyskała ze sprzedaży uprawnień ETS prawie 94 mld zł. Ale bezpośrednio na cele związane z redukcją emisji przeznaczono z tej puli jedynie 1,3 proc. Ale nie jest to wyłączny patent PiS-u. Oni i ich poprzednicy i następcy mieli pieniądze z ETS, sieć elektroenergetyczna starzała się i dusiła w uścisku duopolu, a programów wsparcia jak na lekarstwo. Oto polityka duopolu ponad podziałami.

Sam mechanizm ma przecież sens: producenci energii objęci ETS, zmuszeni kupować uprawnienia do emisji CO_2, powinni mieć coraz silniejszy ekonomiczny powód, by odchodzić od śmierdzących technologii i inwestować w czystsze źródła energii. Nie zawsze tak się dzieje. Jeśli przedsiębiorstwo może przerzucić znaczną część kosztów na odbiorcę końcowego, bodziec do szybkiej zmiany technologii słabnie, a cena energii rośnie. I w końcu za wszystko płaci ten sam frajer – odbiorca. Nic dziwnego, że się wkurza. Tylko że powinien wiedzieć, komu swe złe uczucia zawdzięcza.

Najpierw związać sobie nogi

PiS dołożyło do tego własne arcydzieło – zasadę 10H, która przez lata dusiła rozwój lądowej energetyki wiatrowej. Sieci modernizowano za wolno, więc w 2024 r. odmówiono przyłączenia projektów OZE o łącznej mocy dziesiątek gigawatów. Obywatele kupowali panele, firmy chciały inwestować, technologia taniała, Europa przyśpieszała, a polskie państwo stało na środku drogi z chorągiewką i mówiło: nie da się. To jedna z naszych specjalności narodowych: najpierw związać sobie nogi sznurkiem, potem przegrać bieg, a następnie oskarżyć Unię o spisek przeciw polskim interesom.

Ale obecna władza nie ma powodu, żeby się zanadto uśmiechać. Donald Tusk potrafi pięknie mówić o bezpieczeństwie Europy, po czym przy Zielonym Ładzie natychmiast zaczyna nerwowo spoglądać na sondaże. Zamiast przeciwstawić się głupim tekstom opozycji, w Parlamencie Europejskim mówił o konieczności przeglądu zielonych regulacji, bo Europa potrzebuje tańszej energii i musi pozostać konkurencyjna.

Transformacja źle zaprojektowana może przerzucać koszty na ludzi słabszych, niszczyć poparcie społeczne i zaufanie do państwa. Tyle że odpowiedzią nie powinno być jej spowalnianie. Wręcz przeciwnie: potrzebne są szybsze, mądrzejsze i społecznie sprawiedliwe inwestycje publiczne w sieci, magazyny energii, kolej, termomodernizację, energetykę rozproszoną i atom. Potrzebne są osłony dla ludzi, a nie wieczne tolerowanie rachunku ekonomicznego spółki węglowej, który zgadza się tylko dlatego, że podatnik dopisuje brakujące zera.

Chronić ludzi, nie kopalnie

Tymczasem w 2025 r. rząd wydał około 9 mld zł na subsydiowanie sektora wydobycia węgla. 9 mld zł na podtrzymywanie schodzącej branży, podczas gdy sieci, magazyny i lokalna energetyka potrzebują kapitału jak płuca powietrza.

Sprawiedliwa transformacja nie polega przecież na tym, żeby zostawić górnika samemu sobie. Przeciwnie. Trzeba wydać pieniądze na ludzi – na dobre odprawy, gwarancje dochodu, przekwalifikowanie, nowe zakłady pracy i inwestycje na Śląsku. Ale dopłacanie do wydobywania coraz droższego węgla tylko po to, żeby za kilka lat zamknąć kopalnię w jeszcze gorszym stanie, jest polityką społeczną mniej więcej tak rozsądną jak leczenie alkoholizmu przydziałem wódki.

A na tym tle prezydent Nawrocki proponuje referendum: „Czy jest pan/pani za realizacją polityki klimatycznej, która doprowadziła do wzrostu kosztów życia obywateli, cen energii i prowadzenia działalności gospodarczej i rolniczej?". Tę próbę senat odrzucił, więc w lipcu prezydent złożył drugą, z pytaniem krótszym, a przez to jeszcze bardziej malowniczym: „Czy jest Pan/Pani za realizacją przez Polskę polityki klimatycznej Unii Europejskiej?". Równie dobrze można zarządzić referendum: czy jesteś za tym, żeby Polska była silna i nowoczesna, a ludziom żyło się lepiej?

Nie twierdzę, że Zielony Ład jest objawieniem, Komisja Europejska jest nieomylna, a każda klimatyczna regulacja została spisana na górze Synaj. Przeciwnie. Trzeba spierać się o terminy, koszty, osłony społeczne, przemysł, rolnictwo, transport i o to, kto za transformację płaci. Ja chciałabym, żeby wreszcie większą część rachunku płaciły wielkie firmy, banki i najbogatsi, a nie emerytka ogrzewająca stary dom.

Ale spór o sposób transformacji nie jest sporem o to, czy transformację robić. Bo alternatywą nie jest kraina taniego polskiego węgla, nad którą fruwają husarskie skrzydła. Alternatywą jest dalsze łożenie miliardów na kopalnie, dalsze kupowanie ropy i gazu za granicą, dalsze starzenie się elektrowni i sieci oraz dalsze jęki, że ktoś nam zrobił drogi prąd.

Odnawialne źródło rozumu

Największym wrogiem polskiej energetyki nie jest więc wiatrak. Nie jest nim panel fotowoltaiczny. Nie jest nawet Bruksela, choć Bruksela też potrafi wyprodukować nieroztropne regulacje.

Największym wrogiem jest polska polityczna głupota: pisowska, gdy wrzeszczy „oze-sroze"; liberalna, gdy boi się własnego cienia i ulega skompromitowanej neoliberalnej ideologii; państwowa, gdy przez dekadę trwoni miliardy na modernizację, po czym budzi się zdziwiona, że system nadal nie działa.

Wiatr i słońce mamy za darmo. Można zgromadzić uran na lata, zbudować sieć, postawić magazyny energii. Górnikowi można zaproponować i zorganizować sensowną pracę, a człowieka chronić lepiej niż kopalnię.

Tylko rozumu, niestety, nie da się zadekretować. A szkoda. Przydałby się nam jako podstawowe, odnawialne źródło energii.

ANNA GRODZKA

---

krajów Europy. Tyle że wystarczy pojechać do Pabianic, aby przekonać się, że niekoniecznie. Tam właśnie upadła fabryka, która przez ponad 100 lat była symbolem miasta. Zakład, który przetrwał II wojnę światową, czasy gospodarki centralnie planowanej, transformację ustrojową i kolejne zmiany właścicielskie, nie przetrwał dwóch lat pod skrzydłami nowego inwestora, choć nie zabrakło ani ludzi do pracy, ani zamówień na produkowane wyroby. Sąd ogłosił upadłość spółki Ultinon Motion Poland. Zakład od 1921 r. produkował żarówki, a w czasach gdy nosił nazwę Polam, zatrudniał ponad 2 tys. osób. Ostatnio pracę miało tam około 600 osób. Ale z przedsiębiorstwem współpracowało około 200 polskich firm, których łączne obroty z pabianickim zakładem sięgały około 80 mln zł rocznie. Problemy jednej firmy przełożą się na sytuację wielu dostawców, podwykonawców i ich pracowników. Dwa lata temu zakład przejęła amerykańska grupa First Brands Group i zaczęły się problemy. Przedsiębiorstwo przestawało regulować zobowiązania wobec dostawców. Zakład dysponował zamówieniami, lecz coraz trudniej było utrzymać płynność finansową. Teraz na terenie firmy pracują robotnicy ze Słowacji, demontujący część maszyn, które pojadą tam, dokąd uzna to za stosowne syndyk. Czyli najprawdopodobniej do jakiegoś kraju, w którym gospodarka tak nie pędzi jak u nas, gdzie bezrobocie jest większe, a inwestorom nie chce się tak inwestować jak nad Wisłą.

● „Bankom znowu będzie trudniej" – takie opowieści można usłyszeć praktycznie na niemal każdej konferencji Związku Banków Polskich. Człowiek mógłby pomyśleć, że sektor finansowy ledwo dyszy, prezesi zastanawiają się, czy starczy na prąd, a akcjonariusze organizują w internecie zbiórki na ratowanie firm. Ale gdy przychodzi dzień publikacji wyników finansowych, cały ten obraz się sypie. mBank zakończył wszak pierwsze półrocze z zyskiem netto 1,66 mld zł, czyli aż o 143 proc. większym niż rok wcześniej. Sam drugi kwartał przyniósł 959 mln zł zysku, o 127 proc. więcej niż przed rokiem. To nie wygląda na przedsiębiorstwo walczące o przetrwanie. Jeszcze zabawniej robi się wtedy, gdy spojrzymy na sprzedaż kredytów. Związek Banków Polskich bowiem od lat przekonuje, że państwo utrudnia bankom prowadzenie działalność. Tymczasem mBank poinformował, że sprzedaż kredytów hipotecznych w pierwszym półroczu wzrosła o 33 proc., kredytów gotówkowych – o 23 proc., a tych do finansowania przedsiębiorstw – również o 23 proc. Wartość nowo sprzedanych hipotek przekroczyła 6,1 mld zł, natomiast nowych kredytów dla firm niemal sięgnęła 24 mld zł. Depozyty klientów zwiększyły się o blisko 14 proc., aktywa przekroczyły 280 mld zł, a kapitały własne wzrosły do ponad 21 mld zł. Czy tak wygląda kryzys bankowości? Nie oznacza to oczywiście, że banki nie powinny zarabiać. Powinny. Silny sektor finansowy jest potrzebny każdej gospodarce. Problem zaczyna się dopiero wtedy, gdy rekordowym wynikom finansowym towarzyszy narracja o permanentnej krzywdzie. Trudno bowiem zachować wiarygodność, przekonując ludzi o katastrofie, i publikować raporty pokazujące miliardowe zyski, dynamicznie rosnącą sprzedaż kredytów oraz kolejne rekordy aktywów.

TTJ

eprasa.pl 637fc21c80

Basem w grzyba

Muzyka zagłusza skrzypienie miasta

Łódzka festiwaloza jest wspólnym dziełem kryzysu wieku średniego nadprezydenta Tomasza Piotrowskiego (formalnie: wiceprezydenta) i starczego zdziecinnienia prezydent Hanny Zdanowskiej. Normalny mężczyzna, gdy zaczyna się bać własnej metryki, kupuje motocykl albo przypomina sobie, że kiedyś chciał grać na gitarze. Piotrowski ma łatwiej, bo dostał do zabawy budżet dużego miasta. Może sprowadzać artystów, kręcić się za kulisami i pozować z raperami, jakby urząd wiceprezydenta był przepustką na backstage. Sam nie został gwiazdą, ale za publiczne pieniądze może przebywać w ich pobliżu, co najwyraźniej również działa na prostatę.

Zdanowska na miejskich zdjęciach tańczy, składa serduszka z palców i próbuje wyglądać jak fajna ciocia, która pozwala młodzieży wrócić później do domu. Przypomina emerytowaną dyrektorkę podstawówki, która weszła na szkolną dyskotekę i nie zauważyła, że uczniowie nagrywają ją już dla żartu. Jej stanowczo zbyt długa prezydentura kończy się w oparach waty cukrowej, przy świetle telebimów i huku tak potężnym, że nikt nie usłyszy skrzypienia miasta.

Łódź Summer Festival trwa trzy dni (w tym roku odbył się w dniach 24–26 lipca, a organizowany jest rokrocznie od 2023 r.). Wtedy Łódź ma działać. Tramwaje muszą dojechać, teren ma być przygotowany, toalety ustawione, a służby gotowe. Nagle można wszystko skoordynować, ponieważ przyjadą ludzie z Warszawy, zrobią zdjęcia i być może napiszą w internecie, że Łódź jest super. Mieszkaniec może przez resztę roku czekać na tramwaj, remont ulicy albo lokal socjalny. On już tutaj jest, więc nie trzeba go zdobywać. Nie wyjedzie obrażony po weekendzie, najwyżej umrze w komunalnej kamienicy i zwolni zasób.

Miasto jest więc urządzone dla człowieka, który wpada na koncert, wypija piwo i znika, zanim zorientuje się, że cały ten industrialny klimat jest zwykłą biedą ubraną przez specjalistów od promocji w modne słowa. Z okien pociągu Łódź wygląda jeszcze jak miasto. Dopiero po kilku miesiącach mieszkania człowiek dowiaduje się, że rozkład jazdy jest literaturą fantastyczną, remont może uwięzić niepełnosprawnego lokatora, a deszcz w kamienicy pada także po zamknięciu okien. Uczestnikowi festiwalu ta wiedza nie jest potrzebna. Ma zostawić pieniądze i zachwycić się autentycznością.

Urząd reklamował tegoroczną imprezę hasłem „Rozbijamy bank". Trzeba przyznać, że czasem z magistratu wyjdzie komunikat zgodny z prawdą. Poprzednia edycja kosztowała około 13,5 mln zł. Ile pochłonie obecna, ustalimy zapewne po festiwalu, kiedy Piotrowski zdąży już ogłosić historyczny sukces. Finansowanie imprezy przepływa przez Łódzką Organizację Turystyczną, do której szerokim strumieniem płyną składki miasta i miejskich spółek. Piotrowski uspokajał, że samorząd nie dokłada dużo, bo są sponsorzy oraz Łódzka Organizacja Turystyczna. Mówił o niej tak, jakby pieniądze przynosiły krasnoludki w plecakach. Tymczasem miliony wpłaca tam także miejski aquapark, miejski holding i inne podmioty należące do Łodzian. Co dokładnie dzieje się z tymi pieniędzmi, próbują zrozumieć media, radni i prokuratura. Wiceprezydent rozumie przede wszystkim, że koncert wyszedł świetnie.

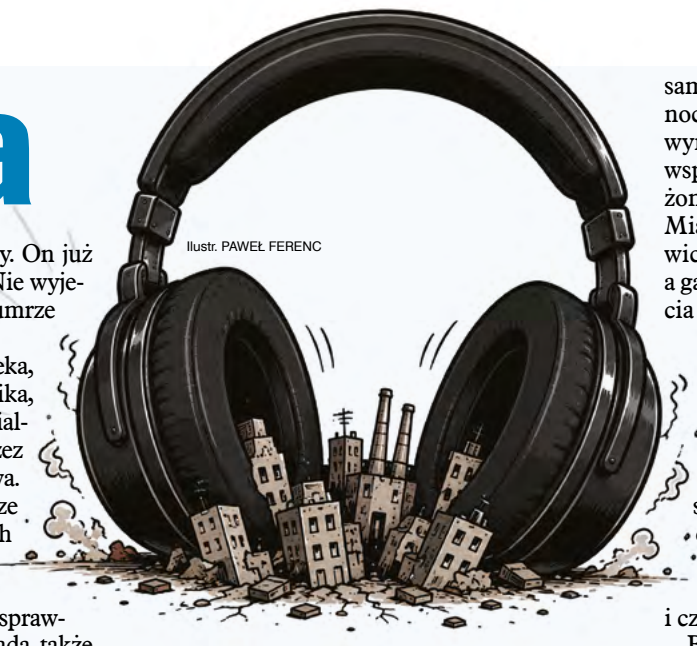
Ilustr. PAWEŁ FERENC

Darmowy festiwal kosztuje więc kilkanaście milionów. Darmowość polega na tym, że rachunek nie trafia do człowieka pod sceną. Płaci lokator czekający na naprawę dachu, pasażer wypatrujący tramwaju i pacjent miejskiej przychodni.

Każdemu zabiera się po trochu, dzięki czemu na plakacie można napisać wielkimi literami, że wstęp jest wolny. Nie wszyscy przyjdą, lecz zrzutka jest obowiązkowa.

Do festiwalowej opowieści dołączyła łódzka „Wyborcza", publikując artykuł o mieszkaniach wiceprezydenta Adama Wieczorka. Już sam tytuł brzmiał jak ogłoszenie na portalu noclegowym: „Mieszkania wiceprezydenta do wynajęcia". Wieczorek ma 13 lokali, z czego 12 wspólnie z żoną. Dwa, liczące 35 i 26 mkw., małżonka wystawiła do wynajęcia przed festiwalem. Miasto sprowadza klientów, rodzinny majątek wiceprezydenta zapewnia im dach nad głową, a gazeta opisuje to jak zabawną ciekawostkę z życia samorządowca.

Sprawa robi się jeszcze śmieszniejsza, gdy człowiek sprawdzi, czym Adam Wieczorek zajmuje się w urzędzie. Wiceprezydent nadzoruje gospodarowanie miejskimi lokalami mieszkalnymi. Jest od ludzi, którzy własnego mieszkania nie mają i dlatego składają wnioski, zdobywają punkty, donoszą zaświadczenia oraz przez lata uczą się pokory wobec Zarządu Lokali Miejskich. Nad całą tą nędzą postawiono człowieka posiadającego 13 mieszkań i czerpiącego dochody z najmu.

Być może Wieczorek jest najuczciwszym kamienicznikiem w Łodzi, ale konflikt interesów widać bez pomocy CBA. Jako wiceprezydent powinien rozwijać tani zasób komunalny, który chroni ludzi przed czynszami na rynku prywatnym. Jako właściciel 13 mieszkań czerpie dochody właśnie z tego rynku. Im mniej lokali oferuje miasto i im dłuższa kolejka do ZLM, tym więcej ludzi musi szukać dachu nad głową u takich obrotnych jak on. Powierzenie mu miejskiego mieszkalnictwa jest więc kpiną z lokatorów i samorządu. Bo jego prywatny interes zaczyna się dokładnie tam, gdzie kończy się skuteczna polityka mieszkaniowa miasta.

Festiwaloza pozwala o tym całym łódzkim łajnie zapomnieć. Przez weekend Łódź dudni i udaje młodość, a jej władze kręcą się pod sceną, jakby właśnie rozwiązały wszystkie problemy miasta. W poniedziałek ciężarówki zabiorą dekoracje i bas ucichnie. Wtedy w komunalnych kamienicach znowu będzie można usłyszeć wodę kapiącą z sufitu. Przez trzy dni zagłuszała ją muzyka.

DAMIAN DUSZCZENKO

Żeby puszcza była puszczą

Odchodzimy od pisowskiej polityki ochrony przez wycinkę

Są takie chwile, kiedy człowiek zaczyna wierzyć, że państwo jednak potrafi nauczyć się czegoś na własnych błędach. Jedną z nich jest podpisanie niedawno przez ministerkę klimatu i środowiska Paulinę Hennig-Kloskę Planu Zarządzania Obiektem Światowego Dziedzictwa UNESCO „Puszcza Białowieska".

Dokument, zaakceptowany przez UNESCO, wyznacza zasady ochrony polskiej części puszczy do 2051 r. Najważniejsza zmiana jest prosta i dla części leśnego establishmentu zapewne bolesna: 96 proc. powierzchni ma zostać pozostawione procesom naturalnym, podczas gdy dotychczas było to 37 proc. Na tym obszarze wykluczono tradycyjnie rozumianą gospodarkę leśną oraz polowania. Krótko mówiąc: puszcza ma być przede wszystkim puszczą, a nie fabryką desek z wyjątkowo ładnym logo.

To rozwiązanie jest tym bardziej znaczące, że przez lata wokół puszczy toczyła się wojna o coś znacznie większego niż sposób postępowania z kilkoma tysiącami drzew. Chodziło o pytanie, czy las o wyjątkowej wartości przyrodniczej ma być traktowany jak żywy ekosystem, czy jak kolejny teren gospodarczy, którym trzeba „zarządzać", najlepiej przy pomocy piły spalinowej.

W latach 2015–2017 mieliśmy właśnie ten drugi model. Symbolem tej polityki stał się nieżyjący już minister środowiska Jan Szyszko z PiS-u. W marcu 2016 r. zatwierdził zwiększenie limitu pozyskania drewna z 63 tys. do 188 tys. m sześc. Decyzja otworzyła drogę do znacznie intensywniejszych cięć. Argument był jak z podręcznika urzędniczej magii: „Wycinamy, żeby chronić". Przy czym robal – kornik drukarz – został obsadzony w roli głównego czarnego charakteru.

Problem polegał na tym, że dla przyrodników naturalne procesy zachodzące w puszczy nie musiały oznaczać katastrofy wymagającej interwencji harvestera i piły. Tymczasem w 2017 r. w trzech puszczańskich nadleśnictwach pozyskano 111 993 m sześc. drewna. PAP szacowała, że odpowiadało to ponad 93 tys. drzew.

Zaraz potem jednak wkroczyła Unia Europejska i powiedziała rzecz wyjątkowo nieprzyjemną dla zwolenników filozofii „tnijmy, bo będzie zdrowiej". Komisja Europejska skierowała bowiem sprawę do Trybunału Sprawiedliwości UE, który zarządził środek tymczasowy nakazujący wstrzymanie wycinki.

Dzisiaj sytuacja wygląda odwrotnie. Nowy plan nie próbuje urządzać natury na wzór plantacji. Daje pierwszeństwo procesom naturalnym, uwzględnia rekomendacje UNESCO i IUCN (Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody), a jednocześnie zachowuje dostęp do Puszczy Białowieskiej dla obywatela (grzybobranie, rekreacja itp.) oraz przewiduje uwzględnienie potrzeb lokalnych społeczności. A to oznacza, że brak masowego rżnięcia lasu będzie dalej rekompensowany milionowymi subwencjami z budżetu państwa dla okolicznych samorządów. Dokument ma obowiązywać przez ćwierć wieku. W 2027 r. UNESCO ma dodatkowo sprawdzić postępy w jego wdrażaniu.

I właśnie tutaj zaczyna się historia ciekawsza niż sam spór o drzewa. Bo jeśli ochrona puszczy rzeczywiście zostanie konsekwentnie wdrożona, przestanie być wyjątkiem, który można co kilka lat politycznie negocjować z leśnikami. Zacznie być normą. A norma ma tę nieprzyjemną dla każdego lobby właściwość, że utrudnia robienie interesów po staremu.

Nie oznacza to oczywiście, że każdy leśnik jest wrogiem przyrody, a każdy myśliwy marzy o wycięciu lasu. Takie uproszczenie byłoby równie głupie jak przekonanie, że każdy ekolog chce zamknąć Polskę w rezerwacie. Spór dotyczy raczej wpływu określonych środowisk gospodarczych i zawodowych na politykę państwa. Przez lata ich argumenty miały wyjątkowo mocną pozycję.

I dlatego szczególnie wymowna jest dzisiejsza reakcja części prawicy. Paweł Sałek, były wiceminister środowiska i obecny poseł PiS-u, ostrzega przed „rozbijaniem Lasów Państwowych" i twierdzi, że ograniczanie gospodarki leśnej może zmniejszyć krajową podaż drewna oraz osłabić przemysł drzewny. To zupełnie inna opowieść o lesie. W tej opowieści las jest przede wszystkim zasobem. Drzewo jest surowcem. Lasy Państwowe są instytucją gospodarczą. A ochrona przyrody jest czymś, co należy robić najlepiej tak, żeby nie przeszkadzało w pozyskiwaniu drewna.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Plan dla Puszczy Białowieskiej odwraca tę hierarchię. Tutaj najpierw jest przyroda, a dopiero później rachunek gospodarczy. I to właśnie może być najważniejsza konsekwencja ideowa dokumentu podpisanego przez ministerkę. Jeżeli bowiem po ewentualnym powrocie prawicy do władzy w 2027 r. proces ochrony puszczy będzie już prawnie, instytucjonalnie i międzynarodowo ugruntowany, cofnięcie go nie będzie prostą decyzją kolejnego ministra środowiska podpisaną przy jednym biurku.

Czy oznacza to automatyczny koniec wpływów leśników i myśliwych? Nie. Tak daleko idącego wniosku nie da się uczciwie wyprowadzić z przedstawionych faktów. Oznacza jednak coś ważniejszego, czyli zmianę dyskursu, na którym do dziś można było przedstawiać wycinkę jako podstawową metodę „ratowania" puszczy.

A jeśli do tego doszłoby polityczne osłabienie PiS-u i brak PSL-u w sejmie, przy tym niezły wynik KO i lewicy, układ sił wokół polityki leśnej mógłby się rzeczywiście na trwałe zmienić.

To jednak scenariusz polityczny, a nie fakt. Wynik wyborów w 2027 r. jest dziś przecież niewiadomą. Jedno natomiast już wiadomo: Puszcza Białowieska dostała plan, który mówi: „Dość". Wystarczy już używania starego lasu jak magazynu drewna. Wystarczy przekonywania, że najlepszym sposobem ochrony przyrody jest jej intensywne eksploatowanie. I jest to koniec zabobonu, że człowiek zawsze musi poprawić naturę, i to najlepiej przy pomocy piły.

Pisowiec Jan Szyszko chciał puszczę „ratować" przez jej masowe rżnięcie. Dzisiaj państwo robi coś znacznie prostszego, bo pozwala jej być po prostu puszczą. I być może właśnie to jest najbardziej radykalny pomysł ze wszystkich.

JMP

Niemiec nie wyremontował

Jasna przyszłość w Jeleniej Górze

W latach 1933–1935 powstał w Jeleniej Górze (ówczesnym Hirschbergu) nowoczesny kompleks basenowy Städtisches Schwimmbad. Wyposażony w skocznię, trzy niecki, rozbudowane szatnie i niezbędną infrastrukturę obiekt służył m.in. jako miejsce przygotowań niemieckiej kadry do owianej legendami olimpiady w Berlinie w 1936 r.

Położony pod malowniczym Wzgórzem Kościuszki (Cavalierberg) basen służył pokoleniom spragnionych letnich kąpieli polskich przesiedleńców. Wiele dekad był on jedynie lekko przyprószany (głównie średniej jakości farbą olejną) przez kolejne polskie władze, które zarządzały tym terenem od 1945 r.

Na początku 2025 r. nie można było już dłużej zakłamywać rzeczywistości – obiekt zamknięto ze względu na zły stan techniczny. Jeden z najpopularniejszych w ostatnich latach ośrodków letniskowych – rok wcześniej Karkonosze zyskały miano najczęściej odwiedzanej destynacji turystycznej w Polsce – został bez żadnego otwartego basenu. Nie wiedzieć czemu Niemiec nie wrócił i nie wyremontował. Dzisiejszych mieszkańców Hirschbergu trafił szlag. Miasto niegdyś wojewódzkie, obecnie zamieszkiwane przez 73 tys. ludzi i odwiedzane przez miliony turystów zaglądających w drodze z lub do Szklarskiej Poręby i Karpacza, pogrążyło się w mętnej wodzie nielegalnych podmiejskich kąpielisk. Jak to w Polsce bywa, w 2026 r. – ponad rok po zamknięciu –

władze postanowiły ulżyć ludowi w męce i sprezentowały imponującą wizualizację basenu, który ma powstać dokładnie w tym samym miejscu i wykorzystywać istniejącą infrastrukturę. Koszt to szacowane i szacowne 70 mln zł.

eprasa.pl 637fc21c80

Jebać biedę

Zdjęcia IDALIA DUBICKA

Rewitalizacja po polsku

Ulica Brzeska na warszawskiej Pradze przejdzie rewitalizację. Z punktu widzenia obywateli niezwiązanych w żaden sposób ze stolicą to informacja mało istotna, ale tylko pozornie. Ulic takich jak Brzeska, zapomnianych przez Boga enklaw sypiących się kamienic z ludzkim wsadem, od których wszyscy odwracają wzrok, jest w polskich miastach i miasteczkach na pęczki. Proces rewitalizacji stawia na człowieka: uporządkowanie otoczenia ma poprawić życie lokalsów, remont ma przyciągnąć inną klientelę. Jednak ubóstwo i wykluczenie nie znikną tylko dlatego, że rozproszy się je po kątach. Czy istnieje złoty środek?

Swojaki

Warszawę odwiedzam kilka razy w roku z przyczyn towarzysko-kulturalnych. Na Brzeską chadzam do sklepu po fajki. Ulica jest jednym z reliktów dawnej Pragi XIX i XX w. Wyznacza wschodnią pierzeję kultowego bazaru Różyckiego. Przy okazji jest uważana za centrum tzw. północnopraskiego trójkąta bermudzkiego, czyli najbardziej niebezpiecznej części dzielnicy. Zupełnie niesłusznie. Jeśli człowiek wie, jak się zachować, włos mu z głowy nie spadnie. Podam przykład: dwa tygodnie temu byłam świadkiem kłótni kochanków w jednej z bram. Pan amant nazwał panią narzeczoną „jebaną pizdą" i zmienił architekturę jej twarzy. Zostawił oblubienicę zalaną łzami i krwią na pastwę przechodniów, m.in. moją. Po krótkich oględzinach wraz z konsylium przypadkowych świadków tej różnicy zdań uznaliśmy, że warto wezwać pogotowie. Poszkodowana młoda dama, przełykając fragmenty tkanek, kazała nam się oddalić. Wtedy nastąpiła właściwa akcja. Jakby spod ziemi z różnych kierunków wyskoczyło sześciu gentlemanów. Jeden z nich spokojnie i stanowczo powiedział, że nie trzeba nigdzie dzwonić, bo ogarną sytuację. Nie trzeba mi było powtarzać, schowałam telefon, życzyłam miłego dnia i zaczęłam się oddalać. Kiedy usłyszałam, że jedna z niewiast (najwyraźniej nieświadoma tego, co zaszło) zgłasza sprawę na dyspozytornię, oddaliłam się w trybie pilnym. To nie tylko sąsiedzka troska, ale i zabezpieczenie interesów całych rodzin. Po co komu mundurowi w dzielnicy?

Media brzydko opisują Brzeską przez pryzmat dilerki. Żadna to sensacja, narkotyki można kupić w każdej szkole w kraju. Cóż z tego, że chłopaki z warszawskiej Pragi spuszczają towar w bramach? Kiedyś handlowało się tam wódką. Każdy orze, jak może. Po drugiej stronie ulicy w restauracyjnych i kawiarnianych ogródkach nieco bardziej zamożna klientela zapycha żołądki ku uciesze PKB. Jedni nie przeszkadzają drugim, idealna symbioza. Znajoma zapytała mnie, dlaczego łażę do sieci z płazem w nazwie akurat tam, skoro w okolicy jest ich od groma? Lubię tamtejszą architekturę. Cóż począć? Niestety, idzie nowe.

Stare i starsze

Brzeska przewija się w literaturze faktu, reportażach i szeroko pojętej kulturze. Można ją obejrzeć m.in. w klipie Obywatela G.C. do kawałka „Nie pytaj o Polskę" z 1988 r. Teledysk reżyserowała Małgorzata Potocka. Grzegorz Ciechowski spaceruje w nim po jednym z praskich podwórek przy Brzeskiej oraz sąsiadującym Bazarze Różyckiego. Barbara N. Łopieńska w reportażu „Ulica Brzeska" z 1976 r. cytuje panią Ząbkową spod trzynastki: „Dziesięć procent mieszka tu ludzi porządnych. Reszta to kurwy i złodzieje". Chciałoby się zapytać, gdzie wady?

W 1882 r. otwarto istniejący do dzisiaj Bazar Różyckiego. Na początku XX w. na dużej posesji między Brzeską i Markowską działał czterokondygnacyjny młyn parowy, a później magazyn mąki. W późniejszych latach po wschodniej stronie ulicy wzniesiono kilka kamienic o wyższym standardzie. W większości należały do właścicieli pochodzenia żydowskiego. Zamieszkiwali je głównie dorożkarze, kolejarze i robotnicy. Pod jednym z numerów wzniesiono nawet budynek automatycznej centrali telefonicznej, jednej z sześciu tego typu obiektów na terenie stolicy należących do Polskiej Akcyjnej Spółki Telefonicznej (PAST). Przyszła wojna i choć prawobrzeżna strona Wisły wyszła na niej nienajgorzej, skończyło się jak wszędzie – zmianą.

Mozaika społeczna wpłynęła dekretami do kamienic z piękną stolarką, i słynnymi Maryjkami w bramach. Co ciekawe, powyższe składowe Brzeskiej przetrwały w różnych kompozycjach dwie wojny. Nie przetrwały Polski wolnej. Dziesięciolecia państwowej krótkowzroczności doprowadziły ją do ruiny.

Zamiana pojęć

Z grubsza nie ma co się obrażać o nowe pomysły władzy na ten rewir. Budynki i lokale wchodzące w skład mieszkaniowych zasobów polskich gmin są często w bardzo złym stanie. Większość z nich nie była poddana renowacji po 1945 r. Trudno żyć w lokalach z rozpadającymi się stropami, rurami i kawałkami ścian zostającymi w dłoni, jeśli się o nie oprzeć. Tam wkracza rewitalizacja. Tylko co to właściwie oznacza?

Przebudowa obszarów miejskich pociąga za sobą konieczność przesiedleń. Na czas remontu miasto zapewnia lokatorom lokale zamienne. Przymusowa relokacja wyznacza linię demarkacyjną między „poprawną" rewitalizacją a niosącą negatywne społeczne skutki gentryfikacją. Ustawa o rewitalizacji z 2015 r. zdefiniowała społeczność lokalną jako odbiorcę programu i stworzyła narzędzia mające gwarantować, że będzie ona głównym beneficjentem zmian. Krótko mówiąc, lokator dostaje na czas robót mieszkanie zamienne, a po zakończeniu prac ma gwarancję powrotu do swojego odnowionego kwadratu. Przynajmniej w teorii. Ustawa bowiem nie gwarantuje, że czynsze wyremontowanych mieszkań zostaną utrzymane na tym samym poziomie. Na przykład w Łodzi na obszarze poddanym rewitalizacji nie została przewidziana forma najmu socjalnego skierowanego do gospodarstw domowych, których dochody nie przekraczają kwoty określonej w uchwale rady gminy. Mówiąc prościej, miasto z powrotem nie wpuściło do wyremontowanych kamienic najmniej zamożnych mieszkańców.

Legendarny odcinek Brzeskiej, między Ząbkowską a Kijowską, jest już w dużej mierze wysiedlony. Nieliczni rdzenni mówili mi na uszko, że stara Praga uczyła honoru, umów, zasad, pracowitości i odpowiedzialności. Nie wątpię i piszę to bez cienia sarkazmu. Rada Dzielnicy Praga Północ nie wierzy tym zapewnieniom. Głosi wszem i wobec, że gdy budynki przestaną być pustostanami, wszystkie problemy Brzeskiej znikną. Największym – wedle władz – jest społeczność sąsiedzka oparta na wspólnym mianowniku, jakim jest przestępczość. Miasto zarzeka się, że po remontach mieszkania wrócą do puli lokali komunalnych. Ale czy wrócą do nich poprzedni lokatorzy? No właśnie…

Zmianę charakteru społecznego okolicy, w której osoby o wyższym statusie społeczno-ekonomicznym zastępują lokalną biedotę, nazywamy właśnie gentryfikacją. Robi się to w białych rękawiczkach we wszystkich miastach w kraju.

Z korzeniami

Informacje o przeprowadzce mieszkańcy otrzymują z różnym wyprzedzeniem, od miesiąca do kilku lat. Pojawia się procedura wyboru lokalu zamiennego. Niekiedy można wybierać spośród kilku, ale zwykle nie są one prezentowane jednocześnie. W ten sposób lokals, odrzucając pierwsze lokum nie ma pewności, czy kolejne nie będzie gorsze. Zresztą nie ma co wybrzydzać. Po kilku odmowach miasto może wszcząć postępowanie sądowe w związku z utrudnianiem remontu budynku. Jak ktoś jest w życiowej dupie, nie potrzeba mu kolejnych kłopotów.

Naturalnie przeprowadzka z rozsypującej się meliny do mieszkania, w którym na łeb nie lecą tynki, to profit. Część osób, które zaczynają życie na nowym, jest zadowolona z poprawy warunków i traktuje lokal zamienny jako swego rodzaju nowy rozdział w życiu. Oczywiście do momentu, kiedy kolejny kwartał dzielnicy nie przejdzie rewitalizacji. Przymusowa zmiana adresu bez wizji powrotu na stare śmiecie najbardziej odbija się na seniorach. Utrata wieloletnich sąsiedzkich więzi, znanej przestrzeni oraz codziennych rytuałów prowadzi do tzw. syndromu relokacyjnego – depresji i pogorszenia stanu fizycznego.

Częste przesiedlenia sprawiają, że ludzie zaniedbują otoczenie, bo czują, że nie jest ich. Żyją w poczuciu tymczasowości i zagrożenia porzuceniem. W ubogich dzielnicach Berlina czy Lipska zastosowano ciekawy mechanizm: zatrudniono lokatorów przy remontach kamienic.

Człowiek, który kładzie podłogi we własnym lokalu, zupełnie inaczej o niego dba. W rewitalizacji po polsku nie chodzi jednak o to, żeby podnieść kapitał społeczny, a raczej – aby odbudować prestiż okolicy.

Dobrym przykładem prawidłowo przeprowadzonego procesu rewitalizacyjnego jest osiedle Regent Park w Ontario w Kanadzie. Było to klasyczne powojenne osiedle socjalne, które z czasem stało się enklawą biedy, przestępczości i wykluczenia społecznego. Miasto zamiast wykurwić lokalsów i zburzyć budynki pod deweloperkę, wdrożyło unikalny plan. Zastosowało zasadę gwarancji powrotu dla każdego dotychczasowego mieszkańca lokalu socjalnego do nowego lub odnowionego budynku o tym samym standardzie i wysokości czynszu. Następnie dogęszczano dzielnicę, budując obok mieszkania rynkowe. Architektura budynków socjalnych nie odróżniała się od prywatnych, dzięki czemu zażegnano stygmatyzację. W dzielnicy wybudowano luksusowe obiekty publiczne, z których korzystają wszyscy, bez względu na zasobność portfela. Mieszkańcy przestali być stygmatyzowani na rynku pracy przez adres zamieszkania. Powstał miks społeczny, który rozbił getto, ale nie wypchnął ludzi poza nawias.

Obok starych kamienic na Brzeskiej już wyrastają prywatne inwestycje i będzie ich coraz więcej. Jej dotychczasowi mieszkańcy obejrzą je, jeśli wybiorą się na spacer, odwiedzając stare śmiecie.

IDALIA DUBICKA

Wizualizacja w formie graficznej (ciekawe, ile na to poszło) została zgrabnie naklejona na poniemieckim, obdrapanym gzymsie obiektu, aby wkurwiać spoconych Polaków. Wizja prezydenta miasta Jerzego Łużniaka ma zostać wcielona w życie najszybciej latem 2028 r. Póki co zaleca się jeżdżenie do letnisk w Szklarskiej Porębie, Karpaczu i Świeradowie, gdzie w ramach pokoju za 1600 zł za noc można skorzystać z chlorowanej wody pod dachem.

Dla tych, których ta wizja nie pociąga, lokalne portale internetowe – opłacane głównie z miejskiej kasy – mają alternatywne rozwiązanie: dać zarobić naszym słowiańskim braciom.

Już drugie lato portale prześcigają się w chwaleniu czynnych kąpielisk znajdujących się w niedalekiej odległości. Niedaleko – to znaczy głównie w Czechach, gdzie jakimś cudem uchowały się również poniemieckie, lecz lepiej odświeżane odkryte pływalnie.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

MARCIN SMOLAK

eprasa.pl 637fc21c80

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Tegoroczny Pol'and'Rock Festiwal przeszedł do historii, ale temat imprezy wciąż pojawia się w przestrzeni publicznej. W social mediach Suwerennej Polski pojawiło się nagranie przedstawiające uczestników imprezy podążających w kondukcie, na którego czele na specjalnym stelażu umieszczono wizerunek papki Jana Pawła II. Festiwalowicze zaśpiewali „Barkę", pląsając wokół plakatu z papieżem przyozdobionym kolorowym oświetleniem. Suwerenna Polska podsumowała celebrację tak: „Profanacja świętego Jana Pawła II na festiwalu Owsiaka. Dno". Film pojawił się także na koncie radnego sejmiku województwa śląskiego Bartłomieja Kowalskiego. „Jeśli na festiwalu Owsiaka dochodzi do profanowania tego, co dla milionów Polaków jest święte i ważne, jak pamięć o św. Janie Pawle II, to jest to zwykła patologia" – napisał radny. Absurd, wszak papież uwielbiał wychodzić do młodzieży.

✚ W komunikacie skierowanym do duszpasterzy i narzeczonych diecezji warszawsko-praskiej bepe Tomasz Sztajerwald zwrócił uwagę, że w ostatnim czasie pojawiają się pytania dotyczące możliwości organizowania ślubów kościelnych poza kościołem parafialnym. Zaznaczył, że zawieranie sakramentu małżeństwa poza świątynią – w plenerze, ogrodzie czy parku – nie jest dopuszczalne, jeśli motywowane jest względami estetycznymi, sentymentalnymi lub organizacyjnymi. Za wspieranie procesu laicyzacji przez biskupa – serdeczne Bóg zapłać.

✚ Podczas uroczystości wręczenia sztandaru 18. Stołecznej Brygadzie WOT na Placu Zamkowym w Warszawie prezydent Karol Nawrocki wykrzyczał, że „walka z Bogiem i Kościołem katolickim jest walką z Wojskiem Polskim". Podkreślił, że wartości chrześcijańskie oraz hasło „Bóg, Honor i Ojczyzna" stanowią fundament polskiej tradycji wojskowej. Niby dużo o chrześcijaństwie, a zapachniało talibanem.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

✚ Na opublikowanych w mediach społecznościowych zdjęciach Konsulatu Generalnego Ukrainy w Lublinie znalazł się ksiądz objęty zakazem kontaktu z osobami małoletnimi. Chodzi o ks. Mieczysława Puzewicza. Klecha przez wiele lat był rzecznikiem prasowym arcybiskupa Józefa Życińskiego i diecezjalnym duszpasterzem młodzieży, potem kierował archidiecezjalną rozgłośnią radiową. Pod koniec lat 90. współtworzył Centrum Wolontariatu. Jak się okazało, w ramach tej działalności molestował wolontariuszki. Sprawa wyszła na jaw w maju 2025 r. Ks. Puzewicz wydał publiczne oświadczenie, w którym przeprosił pokrzywdzone osoby. Archidiecezja lubelska odsunęła duchownego od wszystkich funkcji diecezjalnych oraz nałożyła na niego zakaz kontaktu z osobami małoletnimi w pracy duszpasterskiej. Strona ukraińska nie wiedziała o zakazie, ks. Puzewicz zapewnił, że nie zamierzał naruszyć nałożonych ograniczeń. Utrzymuje, że w spotkaniu uczestniczył jako osoba wspierająca finansowo pobyt grupy z Ukrainy.

✚ Proboszcz parafii w Starczówku (woj. dolnośląskie) ks. Andrzej Paszyński odmówił odprawienia pogrzebu, bo w kopercie było zbyt mało pieniędzy. Sprawę w lokalnych mediach nagłośnili bliscy zmarłej i parafianie. Duchownego obraziła nie tylko niewystarczająca ilość gotówki, ale i fakt, że krewni nieboszczki zlecili usługi pogrzebowe innej firmie niż tej, którą sam polecał. Ostatecznie pogrzeb odbył się, ale stało się to po stanowczej interwencji przybyłych na nabożeństwo osób. Klecha odbębnił powinność w arogancki sposób, bez kazania oraz wspomnienia o zmarłej. Parafianie o sprawie zawiadomili wrocławską kurię. Trwają czynności wyjaśniające.

KLECHA

Wschodni akcent polskiego kleru

Karaganda i karygodni

Kazachscy katolicy mieszkający w diecezji Karaganda dostali polskiego biskupa. Został nim pochodzący z diecezji przemyskiej ks. Piotr Pytlowany, od 2018 r. rzecznik prasowy Konferencji Episkopatu Kazachstanu. Nie dziwota – papiści w Kazachstanie to mniejszość, której większość stanowią osoby pochodzenia polskiego. Język polski jest zatem pożądany, ale polskie zwyczaje już niekoniecznie. Dotychczasowi władcy diecezji pochodzący z Polski byli, delikatnie mówiąc, problematyczni. Do trzech razy sztuka.

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Pierwszym biskupem Karagandy w latach 1999–2011 był abp Jan Paweł Lenga. Zbieżność imion z polskim papieżem nie przeszkodziła mu wyzywać jego następcy Franciszka od heretyków. Ale to było już później, na emeryturze. Lenga urodził się w polskiej rodzinie, ale w ukraińskim Gródku. Wstąpił do zakonu marianów, z którego wywodził się m.in. ks. Eugeniusz Makulski, budowniczy sanktuarium w Licheniu i pedofil. W tymże Licheniu 76-letni aktualnie abp Jan Paweł spędza emeryturę. Zanim trafił do Kazachstanu, zwiedził Litwę, Łotwę i Tadżykistan. W Kazachstanie budował praktycznie od zera struktury kościelne, choć pracujący tam księża wspominają go jako raczej trudnego we współpracy. Coś w tym musiało być, bo w 2011 r. jako 61-latek został emerytem, podczas gdy normalny wiek emerytalny biskupów to 75 lat. Do dziś nie wiadomo dokładnie, o co poszło, a sam arcybiskup twierdzi że to spisek byłego watykańskiego sekretarza stanu (czyli kogoś w rodzaju premiera) kard. Tarcisia Bertonego.

Rozgoryczony zesłaniem przytulił się do prawicowców, którzy dali mu ambonę, gdyż mówił to, co oni lubią słyszeć. Jako biskup miał lepsze papiery do wygłaszania prawackich dyrdymałów niż szeregowy ksiądz czy nawet najbardziej znany publicysta. Wielbiciele przedsoborowego Kościoła szybko to podłapali i zrobili sobie z Lengi maskotkę, a on nie protestował przeciwko tej roli. Wręcz przeciwnie, wygodnie umościł się na prawicy, ma nawet swój kanał na YouTubie, gdzie wrzuca pogadanki. Mówi z charakterystycznym zaśpiewem, dodatkowo zapuścił brodę niczym Jan Maria Rokita i podobnie jak niedoszły premier z Krakowa zgrywa mędrca. Złośliwi twierdzą, że jego czerwony nos może wskazywać na skłonności do biesiadowania jak prawdziwy sarmata.

Lenga nie jest w swoich poglądach oryginalny, ale prawicowcy lubią te piosenki, które już znają. Za największe zło dziarski emeryt uznaje Sobór Watykański II. „To samo zrobili po Soborze Watykańskim II papieże, biskupi, kardynałowie. Oni zniszczyli, stosując zasady Oświecenia chrystocentryzm Kościoła. Zastąpili go antropocentryzmem. Człowiek stał się drogą Kościoła, a nie Chrystus. Człowiek według swego widzimisię idzie taką drogą, jaką sam sobie wyznacza, a nie taką drogą, jaką wyznacza Chrystus. Stąd wszystkie te błędy biskupów, kardynałów i papieży. Dokonali oni uzurpacji władzy w Kościele i przestawili te drogowskazy kierujące do centrum Kościoła, ale nie wskazali, gdzie Chrystus znajduje się naprawdę" – pisał w jednej ze swoich książek. Dość delikatnie i filozoficznie jak na niego, bo w żywej rozmowie potrafi solidniej dopieprzyć.

W krytyce poszedł dalej niż większość jemu podobnych. O papieżu Franciszku mówił per „Bergoglio" i wprost uważał go za uzurpatora i heretyka. „Papież, przepraszam, nie papież, a Bergoglio, który dzisiaj rezygnuje z tej posługi piotrowej, to chyba czuje, że ona została przez niego uzurpowana, a nie dana przez Chrystusa. Dzisiejsi biskupi, wraz z Bergoglio, prowadzą Kościół na zatracenie" – mówił w wywiadzie ze Stanisławem Krajskim, dawnej związanym z mediami Rydzyka, ale dziś zbyt hardkorowym dla nich publicystą.

Status Lengi jest skomplikowany: nie bardzo wiadomo, kto nim rządzi, a sam zainteresowany skwapliwie z tego korzysta. Po serii kontrowersyjnych wypowiedzi ówczesny rzecznik episkopatu ks. Paweł Rytel-Andrianik stwierdził w 2020 r., że ten skandalista „nigdy nie był i nie jest członkiem Konferencji Episkopatu Polski". Teoretycznie podlega – jako senior – biskupowi Karagandy, ale tam mają swoje problemy. Ponieważ Licheń leży na terenie diecezji włocławskiej, bp Wiesław Mering (ten od „jak świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem"), w tymże 2020 r. zakazał mu głoszenia kazań i przewodniczenia liturgii na terenie, którym Mering rządził. Ale w sprawie występów w internecie niewiele może, i nasz drugi Jan Paweł hasa sobie po sieci w najlepsze.

Ot, pomyłka przy pracy – ktoś pomyśli. W każdym stadzie zdarzają się czarne owce. Ale bezpośrednim następcą Lengi na stolcu w Karagandzie został Janusz Kaleta – jeszcze lepsze ziółko. Wyświęcony w diecezji tarnowskiej, studiował w Innsbrucku teologię moralną, doktorat zrobił z bioetyki. Z wykształcenia i urzędu przeciwnik aborcji i in vitro. Biskupem pobył do 2014 r., a w 2016 r. został przeniesiony do stanu świeckiego. „Janusz Kaleta od kilkunastu lat prowadził podwójne życie.

Pracował w Kazachstanie, był biskupem. A równocześnie pozostawał w związku z kobietą. Przeszli nawet procedurę in vitro, zamrozili zarodki.

Duchowny zwodził partnerkę, że się z nią ożeni, potem zmienił zdanie, nie chciał się też zgodzić, by urodziła swoje dzieci" – informowała „Gazeta Krakowska".

Podwójne życie biskupa ujawnił ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski. W kontekście wykształcenia Kalety jego postępowanie wydaje się tym bardziej ironiczne, choć w grę wchodzi też nieszczęście jego partnerki. Były biskup i ksiądz, gdy mleko się rozlało, postanowił wziąć to na klatę i naprawić błędy. „Przepraszam wszystkie osoby, które w jakikolwiek sposób zawiodłem i zgorszyłem. Podejmę w sposób odpowiedzialny zobowiązania wynikające z moich wcześniejszych decyzji. Dziękuję wszystkim, którzy starali się pomagać w tym bardzo trudnym czasie" – napisał w oświadczeniu dla KAI, po czym wziął się za uczciwą robotę poza Kościołem. Tyle dobrego.

Po Kalecie biskupem Karagandy został Włoch, o skandalach nic nie wiadomo. Odszedł na emeryturę jako 78-latek, więc chyba nic nie odwalił. A teraz znów nasz rodak. Z takimi „pasterzami" kazachscy katolicy nie potrzebują żadnych wrogów wiary ani nagonki na Kościół. Oj, mamy tych eksportowych księży, że klękajcie narody.

MATT KOBOSKO

Paplikacja

Modlitwa może powodować utratę danych

Po miesiącu miodowym papież Leon XIV w końcu zalicza wpadki. Właściwie to nie on osobiście, ale odium spada na niego. Jest sobie apka „Click to Pray", autoryzowana przez samego papieża i polecana przez Watykan wiernym na całym świecie. Aplikacja ma pomagać katolikom włączyć się w modlitwę w intencjach wyznaczanych przez szefa Kościoła na każdy miesiąc. W sierpniu na przykład papież zaleca modlitwę za miasta, które stały się współcześnie terenami misyjnymi. Oprócz tego „Click to Pray" podrzuca użytkownikom różne teksty modłów i pozwala na ich odmawianie według ścisłego grafiku. A więc to, co Radio Maryja robi od lat, tylko w uwspółcześnionej formule.

Leon XIV uchodzi za miłośnika nowinek technologicznych – nosi smartwatcha, zanim został papieżem, sam prowadził swoje media społecznościowe. Jednocześnie dostrzega zagrożenia płynące z rozwoju sztucznej inteligencji, czemu poświęcił swój programowy dokument, encyklikę „Magnifica humanitas". Na ironię zakrawa więc fakt, że aplikacja przez niego firmowana jest niedoróbką narażającą na niebezpieczeństwo setki tysięcy użytkowników.

Na portalu antyweb.pl, zajmującym się cyberbezpieczeństwem, czytamy: „Ekspertka ds. cyberbezpieczeństwa BobDaHacker odkryła, iż jej API pozwala pobierać dane dowolnego użytkownika po podaniu jego identyfikatora. Nie trzeba było niczego łamać czy stosować wyrafinowanych technik ataku: problem tkwił w skandalicznych standardach zabezpieczeń (...) Zakres danych obejmował imię, nazwisko, adres e-mail i datę urodzenia, a także inne informacje zapisane przy koncie.

Nie oznacza to jeszcze, że od tego ataku łatwo było przejąć np. konta w banku lub mediach społecznościowych, niemniej ów zestaw wiedzy wystarcza już do przygotowania wiarygodnego ataku phishingowego.

Wiadomość zawierająca prawdziwe dane odbiorcy, odwołanie do znanej mu i używanej przez niego aplikacji i, co więcej, religijny kontekst wiadomości, mogły być zaczątkiem superskutecznej kampanii cyberprzestępców. Nie oszukujmy się też: część użytkowników aplikacji mogą stanowić osoby starsze, mniej obyte z technologiami".

„Click to Pray" ma ponad 700 tys. użytkowników. Spora baza danych. Ale katolicy przecież powinni być odporni na wyłudzanie informacji, w końcu chodzą regularnie do spowiedzi. Nowe technologie zaś dołączają do wrogów Kościoła. Liberalny ponoć „Tygodnik Powszechny" trapi się, czemu czatboty AI pomijają perspektywę religijną pytane o porady życiowe. Autor tekstu „Bóg opuścił czat" docieka: „Pytanie brzmi: czy w trakcie rozmowy AI weźmie pod uwagę perspektywę religijną? Czy na jakimś etapie konwersacji zasugeruje konsultację z duchownym albo modlitwę? Czy może nie zrobi tego wcale?". Może i nie zrobi. Może dlatego, że czatbot analizuje więcej danych niż przeciętny człowiek i jest bardziej odporny na religijne mydlenie oczu? Albo dlatego, że sztuczna inteligencja przewiduje, że kontakt z duchownymi może się w najlepszym wypadku skończyć utratą danych, a w gorszym stratą majątku, rozumu i godności? Z nawracaniem AI pójdzie klerowi trudniej niż z prymitywnymi ludami.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 637fc21c80

Szczęście i duma

Stary dziad rozbeczał się jak dziecko

Ostatnio pisałem tylko o tym, co złe, a nawet wstrętne w obecnym sporcie. Oczywiście główny powód dali mi miłośnik MMA i pieniędzy prezydent USA Donald Trump wraz z drugim amatorem wielkiej kasy, prezydentem FIFA Giannim Infantino. Szczytem wszystkiego był pomysł sprzedania udziałów w największych światowych imprezach piłkarskich prywatnym inwestorom, w tym rodzinie Trumpa.

Oczywiście koncept spotkał się z protestem niezepsutej do końca przez pieniądze części środowiska piłkarskiego. Szef europejskiej federacji UEFA Aleksander Čeferin odciął się od idiotycznego pomysłu i wstąpił na wojenną ścieżkę z włodarzem światowej piłki. Zagroził bojkotem przez Stary Kontynent imprez organizowanych przez FIFA, jeśli Infantino nie wycofa się ze swojego biznesu.

Na marginesie: rykoszetem oberwać może PZPN. 5 września rozpocząć się mają u nas mistrzostwa świata kobiet do lat 20. To wielkie święto, impreza dopiero po raz czwarty odbędzie się w Europie, a stadiony w Łodzi, Bielsku Białej, Katowicach i Sosnowcu już przybierają uroczysty wygląd, godny tak ważnego wydarzenia. Jeśli stosunki między UEFA a FIFA nie zostaną uporządkowane, grozi nam bojkot. Albo mistrzostwa zbojkotują drużyny europejskie, albo z Afryki, a może i z Ameryki Południowej, które twardo trzymają stronę Infantino.

Diabelska góra

To byłby dobry wstęp do kolejnego tekstu o brudach sportu. Na szczęście mamy Kasię Niewiadomą! Proszę uwierzyć, stary dziad, jakim niewątpliwie jestem, popłakał się niczym dziecko, patrząc, jak nasza znakomita kolarka wygrywała etap Tour de France, samotnie pokonując legendarny alpejski podjazd Mont Ventoux.

Mont Ventoux to niesamowita góra. 14-kilometrowy podjazd o średnim nachyleniu ponad 10 proc. Rozpoczyna się wspinaczkę w miasteczku, później jedzie się wśród zieleni, a bliżej szczytu oglądamy księżycowy krajobraz pozbawiony roślinności. Na szczycie Mont Ventoux postawiono wieżę telewizyjną i kolarze z daleka ją widzą. Ponoć to bardzo deprymuje, bo patrząc z dołu, zdają sobie sprawę, jak bardzo daleko jest do mety i ile jeszcze trzeba włożyć wysiłku.

Kolarze i kolarki, nie tylko zawodowcy, także zaawansowani amatorzy, to trochę inny typ człowieka niż pozostali śmiertelnicy. Spoglądając z dołu na wieżę telewizyjną na szczycie Mont Ventoux,

nikt normalny nie wpadnie na to, żeby wjeżdżać tam na rowerze. Tymczasem uczestnicy wyścigów mozolnie się wspinają, a dopingują ich kibice w rowerowych kaskach na głowach, bo oni sami także wcześniej tam wjechali, oczywiście w znacznie wolniejszym tempie.

Może Mont Ventoux nie jest najtrudniejszym kolarskim podjazdem. Niektórzy twierdzą, że to miano należy się L'Alpe d'Huez, wzniesieniu obok tej alpejskiej miejscowości. Też robi niesamowite wrażenie, bo szosa wije się wzdłuż 21 serpentyn. A może pierwszeństwo należałoby dać włoskiej Passo dello Stelvio? Nie potrafię powiedzieć; nigdy nie wjeżdżałem tam na rowerze.

Na mnie największe wrażenie robi jednak Mont Ventoux, może przez ten księżycowy krajobraz na szczycie. Meta obok wieży telewizyjnej bywała już lokalizowana podczas męskiego Tour de France oraz innych wyścigów. Kobiety zdecydowano się puścić na tę morderczą próbę po raz pierwszy.

Krótko po rozpoczęciu wspinaczki utworzyła się trzyosobowa czołówka: główna faworytka do wygrania całej imprezy Holenderka Demi Vollering, Szwajcarka Marlen Reusser i nasza Kasia Niewiadoma-Phinney. Polka zdecydowała się na atak i niemal przez 10 km samotnie kręciła do mety. Właśnie patrząc na wykrzywioną bólem i zmęczeniem buzię góralki z Ochotnicy Górnej, pobeczałem się przed telewizorem.

Waty na kilogram

Kolarstwo to kawał mojego życia. Z peletonami różnych wyścigów przejechałem (oczywiście w samochodzie prasowym) dystans równy kilkukrotnemu obwodowi Ziemi wzdłuż równika. Choć sam nigdy nie byłem czynnym kolarzem (w młodości grałem w piłkę ręczna w warszawskiej Spójni) nauczyłem się cenić i podziwiać wysiłek szosowców. Niektórzy znajomi pytają mnie, po jaką cholerę oglądam wielogodzinne transmisje etapów Giro d'Italia, Tour de France i Vuelta a España. „Bo ja to po prostu kocham!" – odpowiadam.

Kasia Niewiadoma-Phinney generowała niespotykaną u kobiet moc 5,3 W na 1 kg wagi ciała, jej samotna wspinaczka trwała tylko 55 min. Dotychczas uznawano, że bariera 5 W/kg jest dla kobiet nie do pokonania. A utrzymanie jej przez blisko godzinę porównać można do tego, co robi na długich podjazdach fenomenalny Słoweniec Tadej Pogačar.

W czasach, gdy jeździłem z peletonami, nikt specjalnie nie zawracał sobie głowy jakimiś watami na kilogram masy ciała. Musiałem się tego nauczyć później. Mówiąc najprościej, współczynnik W/kg pokazuje, z jaką mocą kolarz pokonuje grawitację na podjeździe.

Kasia Niewiadoma (uparcie będę pisać Kasia, a nie Katarzyna, bo ona sama chce, by tak ją nazywano; próbowała nawet w dokumentach zmienić imię) pochodzi z kolarskiej rodziny. Jej ojciec Stanisław był kolarzem, choć o jego sukcesach nic nie wiem, więc chyba nie był mistrzem. W każdym razie to on i żona Lucyna kupili Kasi rower na szóste urodziny i od tego czasu córka – dosłownie – zbzikowała na punkcie ścigania się. A gdy zaproponował jej regularne treningi, Zbigniew Klęk (ten, który wychował także Rafała Majkę), sprawa była przesądzona – Kasia Niewiadoma będzie kolarką. Przy uporze, z jakim podchodziła do wszystkiego, stało się jasne, że nie byle jaką kolarką. Sukcesy po prostu musiały przyjść. I przyszły.

Później kolarska rodzina się powiększyła. Kasia wyszła za mąż za Amerykanina Taylora Phinneya, wielokrotnego medalistę mistrzostw świata na szosie i na torze. To koniec sportowych rodzinnych koligacji? Nie. Teściowa Kasi to była reprezentantka USA w łyżwiarstwie szybkim i kolarstwie, w którym zdobyła złoty medal olimpijski. Kasia i Taylor zamieszkali początkowo w Polsce, gdzie małżonek poddany został trudnej próbie nauczenia się naszego języka. Teraz mają dom w Katalonii.

Od wielu lat Kasia zaliczana jest do światowej czołówki. Została mistrzynią świata w kolarstwie gravelowym. To ekstremalna forma ścigania się. Rower przypomina zwykły rower szosowy, tylko opony są znacznie szersze. Wyścigi odbywają się głównie na leśnych szutrowych ścieżkach, pełnych zjazdów i podjazdów.

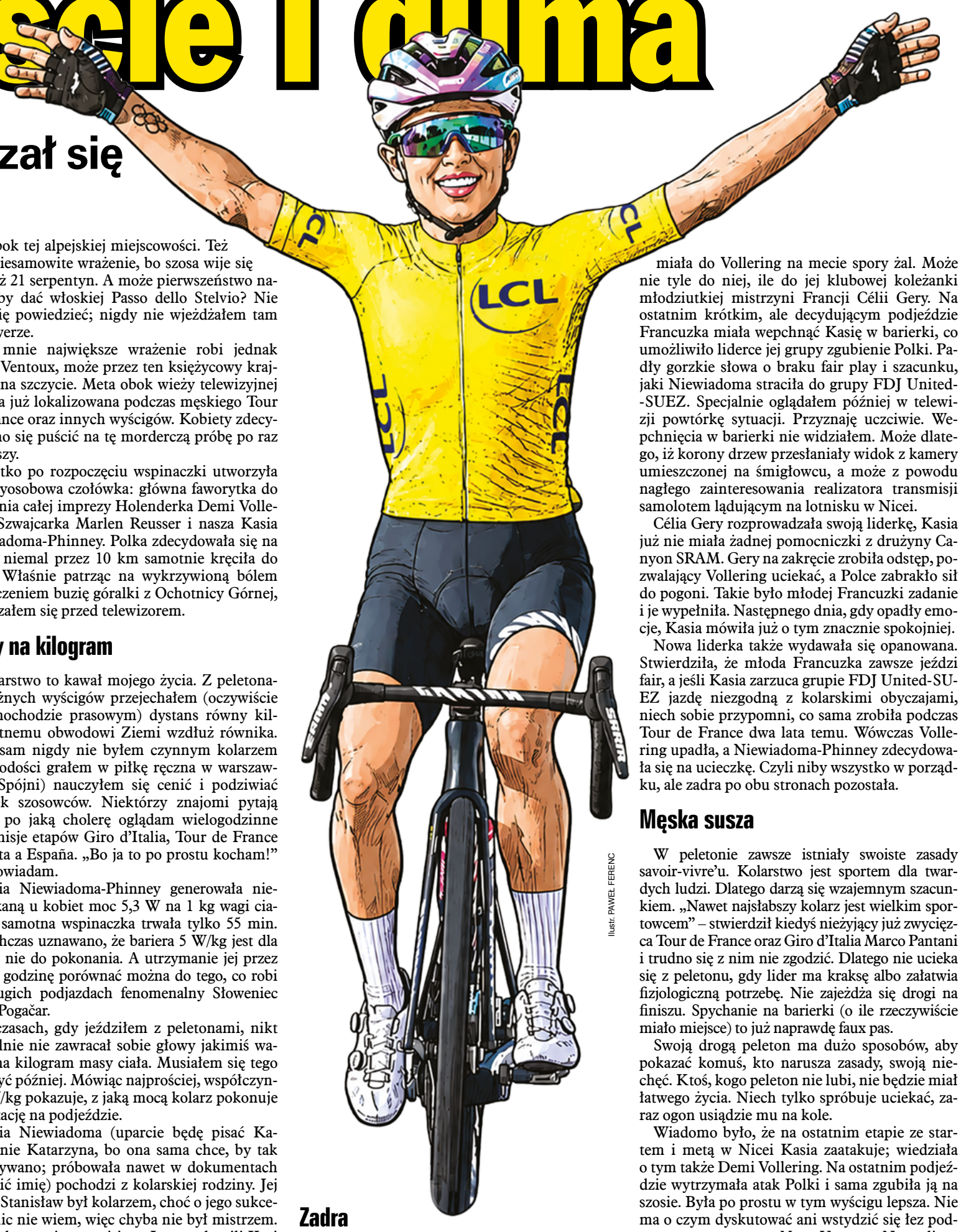

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Zadra

Dwa lata temu Kasia Niewiadoma-Phinney wygrała cały Tour de France, ale w żadnym z etapów nie udało się jej zwyciężyć. To właśnie słabsza strona sportowa Polki. Jest piekielnie mocna, wytrzymała, ambitna, świetnie umie zjeżdżać po niebezpiecznych szosach, ale brakuje jej szybkości. To cecha, którą można trenować, ale nigdy nie da się wytrenować do końca. Szybkość kolarza jest wrodzona. Albo się ją ma, albo nie ma.

Dlatego Kasia ma w życiorysie mnóstwo drugich, trzecich czy piątych lokat, ale tych pierwszych jest jak na tak wspaniałą karierę mało. Jeśli do mety dojeżdża trzyosobowa czołówka, można założyć, że Polka będzie trzecia. Ale szczyt Mont Ventoux dał Kasi szansę, a ona bezwzględnie z niej skorzystała. Nie tylko wygrała etap, ale założyła żółtą koszulkę liderki. Także dlatego podczas telewizyjnej transmisji łzy pokazały mi się pod powiekami.

To nieprawda, że jej rywalki z czołówki, czyli faworyzowane Demi Vollering oraz Marlen Reusser, wzajemnie się pilnowały i żadna nie mogła zdecydować się na pościg. One po prostu zabójczego ataku Kasi nie wytrzymały. Nie potrafiły generować 5,3 W/kg mocy!

Dzień później Kasia straciła żółtą koszulkę – odebrała ją jej Holenderka Demi Vollering. Polka miała do Vollering na mecie spory żal. Może nie tyle do niej, ile do jej klubowej koleżanki młodziutkiej mistrzyni Francji Célii Gery. Na ostatnim krótkim, ale decydującym podjeździe Francuzka miała wepchnąć Kasię w barierki, co umożliwiło liderce jej grupy zgubienie Polki. Padły gorzkie słowa o braku fair play i szacunku, jaki Niewiadoma straciła do grupy FDJ United-SUEZ. Specjalnie oglądałem później w telewizji powtórkę sytuacji. Przyznaję uczciwie. Wepchnięcia w barierki nie widziałem. Może dlatego, iż korony drzew przesłaniały widok z kamery umieszczonej na śmigłowcu, a może z powodu nagłego zainteresowania realizatora transmisji samolotem lądującym na lotnisku w Nicei.

Célia Gery rozprowadzała swoją liderkę, Kasia już nie miała żadnej pomocniczki z drużyny Canyon SRAM. Gery na zakręcie zrobiła odstęp, pozwalający Vollering uciekać, a Polce zabrakło sił do pogoni. Takie było młodej Francuzki zadanie i je wypełniła. Następnego dnia, gdy opadły emocje, Kasia mówiła już o tym znacznie spokojniej.

Nowa liderka także wydawała się opanowana. Stwierdziła, że młoda Francuzka zawsze jeździ fair, a jeśli Kasia zarzuca grupie FDJ United-SUEZ jazdę niezgodną z kolarskimi obyczajami, niech sobie przypomni, co sama zrobiła podczas Tour de France dwa lata temu. Wówczas Vollering upadła, a Niewiadoma-Phinney zdecydowała się na ucieczkę. Czyli niby wszystko w porządku, ale zadra po obu stronach pozostała.

Męska susza

W peletonie zawsze istniały swoiste zasady savoir-vivre'u. Kolarstwo jest sportem dla twardych ludzi. Dlatego darzą się wzajemnym szacunkiem. „Nawet najsłabszy kolarz jest wielkim sportowcem" – stwierdził kiedyś nieżyjący już zwycięzca Tour de France oraz Giro d'Italia Marco Pantani i trudno się z nim nie zgodzić. Dlatego nie ucieka się z peletonu, gdy lider ma kraksę albo załatwia fizjologiczną potrzebę. Nie zajeżdża się drogi na finiszu. Spychanie na barierki (o ile rzeczywiście miało miejsce) to już naprawdę faux pas.

Swoją drogą peleton ma dużo sposobów, aby pokazać komuś, kto narusza zasady, swoją niechęć. Ktoś, kogo peleton nie lubi, nie będzie miał łatwego życia. Niech tylko spróbuje uciekać, zaraz ogon usiądzie mu na kole.

Wiadomo było, że na ostatnim etapie ze startem i metą w Nicei Kasia zaatakuje; wiedziała o tym także Demi Vollering. Na ostatnim podjeździe wytrzymała atak Polki i sama zgubiła ją na szosie. Była po prostu w tym wyścigu lepsza. Nie ma o czym dyskutować ani wstydzić się łez podczas etapu z metą na Mont Ventoux. Na podium obie zawodniczki serdecznie się uściskały. Czy to znaczy, że zapomniały o wcześniejszym incydencie? Za długo przebywałem wśród szosowców, aby nie wiedzieć, że urazy pamięta się tam długo. Okazji do rewanżu Kasi nie zabraknie. Niech tylko odbędzie się wszystko w sportowej atmosferze, takiej, do jakiej przyzwyczaił nas ten sport.

W tym czasie, gdy kończył się żeński Tour de France, w Polsce dobiegł końca męski Tour de Pologne. Cóż, o ile mamy teraz sporo liczących się kolarek, prócz Kasi Niewiadomej także m.in. Dominikę Włodarczyk, Malwinę Mul, Agnieszkę Skalniak-Sójkę, Karolinę Perekitko, o tyle w męskim peletonie susza, gorsza niż obecnie w rolnictwie. W kobiecym Tour de France Polska w czołowej dziesiątce miała dwie przedstawicielki – oprócz Kasi także Dominikę Włodarczyk na siódmej pozycji. Żadna nacja nie może poszczycić się takim rezultatem. Wśród panów w nienajsilniejszej w tym roku obsadzie najlepszy z Polaków Filip Gruszczyński zajął 25. miejsce. Dlaczego tak się dzieje? To jedna z zagadek, choć przykład, jaki już od ponad 12 lat daje młodszym koleżankom Kasia Niewiadoma, trudno przecenić.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 12.08.2026 r.

„NIE" w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 637fc21c80

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Nie zwracał już uwagi na wiatraki, po prostu jechał na swym posłusznym Rosynancie, z wiernym Sancho Pansą u boku, jechał i wzdychał.

Wzdychał do tytułu granda, który posiadł i tak łatwo oddał. Do partii, którą posiadł i przegrał w karty. Żeby chociaż w kanastę… Ale w durnia!

Przebył niełatwą drogę, żeby zostać alkadem w Oenzecie, lecz okazało się, że na próżno, bo progi w wiatraku alkada były za wysokie, a polewka zbyt czarna. Nawet posłem w poselstwie zamorskim nie zdołał zostać, chociaż gotów był na tę polityczną degradację.

Nic. Literalnie nic mu się nie udawało. A przecież miał tyle umiejętności i kompetencji, że można by nimi obdzielić kilku rycerzy. Godnie wypadał w mediach tradycyjnych i społecznych, przemawiać potrafił tak zajmująco i błyskotliwie, że wiatracze skrzydła kręciły się bez tchnienia wiatru. Wrogowie i sprzymierzeńcy słuchali go nabożnie, nie śmiejąc przerywać, a sztychy słowne i polemiki odpierali nieudolnie i prostacko.

Dla polityki, tej niewdzięcznej dziwki, porzucił rozwiniętą karierę telewizyjną. Był rozpoznawalny jak Elvis i popularny jak Zenek Martyniuk. Nie mógł w spokoju ulicą przejść i posiłku w gospodzie spożyć bez nagabywania o selfiki i autografy.

I taki spotkał go koniec… Zdrożony, z wyszczerbionym mieczem, pozbawiony partii, aliansów i aliantów, przybywał do bram wiatraka Tuska, aby co? Błagać o okruch z pańskiego stołu? O ochłap władzy w postaci posady ministra kultury?

Rosynant potrząsnął łbem i parsknął, nie kryjąc pogardy. Wierny Sancho też pokręcił głową z niechęcią. Świat wstrzymał oddech.

A on, dumny rycerz, przystanął. Kopię mocniej uchwycił. Poczekał, aż zadmie wiatr, a słońce skryje się za burzowymi chmurami.

– *En garde!* – zawołał w cudzoziemskiej mowie. – *Allez!*

Wyruszył z kopyta. I nie był już rycerzem nad rycerze, wojownikiem nad wojowniki. Nie był swoim sługą. Nie był rumakiem ani nawet tego rumaka grzywą czy podkową. Był wiatrem, deszczem i gradem, był siłą zdolną wstrzymać Słońce i ruszyć Ziemię. Był odwagą, która mogła zmieść z powierzchni wszystkie wiatraki świata. Był bohaterstwem, a nie bohaterem, męstwem, a nie herosem i fartem ducha, a nie…

– Nie fartem, lecz hartem ducha – usłyszał nagle z prawej strony, tam gdzie pierzchają sny, a rzeczywistość powraca ponura jak Donald Tusk, który dokończył myśl: – Znów się pomyliłeś, Szymon.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i AGNIESZKA WOŁK–ŁANIEWSKA

wreszcie się spotkają. I Czytelników też zapraszają.

Wołk-Łaniewska: – Będziesz oglądać paradę na zatoce?

Senyszyn: – Jakiej znowu zatoce?

– Twojej, Gdańskiej. Generał Dominikowski zapraszał. Czekaj, zanotowałam sobie słowo w słowo, bo same perły z jego ust padały…

– A kto w tej twojej metaforze jest wieprzem?

– Ja na pewno, zważywszy, jaki brak szacunku wykazałam. I dzięki tobie wiem, że „wieprz" to żadna obelga, bo świnie są z natury mądre i schludne.

– Oczywiście. Inteligencją przewyższają psy, koty i ukochane przez Polaków konie. I do tego kochają czystość. Był taki amerykański eksperyment: stado trzody chlewnej zostało wprowadzone na specjalnie przygotowaną farmę – z jednej strony były trzy różne budynki, z drugiej las i zarośla, pośrodku basen. Do betonowego budynku świnie nawet nie weszły, ceglany obejrzały i odrzuciły, wybrały drewniany. Toaletę wyznaczyły sobie w najdalszym kącie obejścia, a wracając z niej, chętnie się kąpały. Co ciekawe, żadna nigdy nie nasiusiała do basenu, choć ludzie robią to nagminnie.

– Wracając do generała: uwaga, czytam: „Serdecznie zapraszam do wzięcia udziału swoją obecnością. Przemieszczamy się w powietrzu, idziemy po wodzie Zatoki Gdańskiej i przemieszczamy się na kołach i gąsienicach dla was, żeby pokazać wam, na jakim etapie procesu transformacji są nasze siły zbrojne"…

– Zaiste generalska polszczyzna. Zwłaszcza „idziemy po wodzie" jest intrygujące. Do tej pory ponoć tylko jeden człowiek chodził, a i to się okazało, że nie człowiek. A teraz będzie chodzić całe wojsko, czyli po cudzie nad Wisłą będzie cud nad zatoką.

– À propos: dowcip ze stanu wojennego mi się przypomniał.

– Dawaj.

– Wojciech Jaruzelski modli się: „Panie Boże, ja wszystko robię dla Polski, dla narodu, a naród mi nie wierzy. Zrób coś, proszę, żeby mi ludzie zaufali, spuść jakiś cud". A Bóg na to: „Załatwione". I 12 października…

– Nasi weterani czytelniczy na pewno pamiętają, ale może młodzieży powiedzmy: to był w PRL Dzień Wojska Polskiego, ustanowiony w rocznicę bitwy pod Lenino. Zamiast sanacyjnego i obecnego 15 sierpnia.

– I otóż 12 października, podczas odchodów Dnia Wojska, Jaruzelski suchą stopą przeszedł po zatoce. I co ludzie powiedzieli? „Generał i pływać nie umie".

– Wracając do obecnych obchodów: niestety parady nie zobaczę. Zgadnij dlaczego.

– Bo jedyne parady, jakie cię interesują, to parady równości?

– To też, ale przede wszystkim dlatego, że 15 sierpnia, jak co roku, swoją obecnością wezmę udział w innym wydarzeniu. I to wraz z twoją obecnością.

– Jezu nazareński, zapomniałam!

– Dlaczego akurat „nazareński"?

– A bo uznałam, że to okrzyk bardzo à propos zlotu ateistów.

– Który – dodajmy – odbywa się w Spale od piątku do niedzieli, jak ktoś chce się z nami spotkać, niech wpadnie. Miejsc z noclegiem już chyba nie ma, ale zawsze można posłuchać i pogadać, wstęp na wykłady i dyskusje jest wolny. I będzie się można zapisać do partii Nowa Fala.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Przybywajcie. Razem będziemy – żeby zacytować Tuwima – najserdeczniej uwłaczać Bogu, ludzkości, ojczyźnie.

– Bogu to nie, ale klerowi i politykom, i raczej nie uwłaczać, a mówić prawdę, czyli właśnie rzucać perły przed wieprze.

– Prawda potrafi być uwłaczająca. I to jeszcze jak! I powiem ci, że ojczyzna, organizująca dwie wojskowe parady – jedną w Warszawie, drugą w Gdyni – budzi we mnie gorącą chęć uwłaczania.

– Ojczyzna niczego nie organizuje. Organizuje Kosiniak-Kamysz. Jak krytykujesz generalską polszczyznę, to sama bądź precyzyjna.

– A ja się jednak nie zgodzę. Jak jasełka są „państwowe", to znaczy, że odpowiada za nie państwo, czyli ojczyzna. I w tym kontekście, poza Tuwimem, przypomina mi się Brassens: „W narodowego święta dzień ja w łóżku swoim smacznie śpię, orkiestry dętej równy rytm obcy jest wszystkim zmysłom mym. Ja nie krzywdzę wszak spośród nich nikogo, gdy nie klaszczę w takt fałszującym trąbom"…

– Strasznie poetycka się dziś zrobiłaś.

– Nic na to nie poradzę, wywrotowa poezja wydaje mi się jedyną właściwą odpowiedzią na tę opętańczą militaryzację, przyozdobioną pogodynką na czołgu…

– A co do tego ma pogodynka?

– A bo mi się przypomniała taka defilada sprzed dekady, z czasów Macierewicza. I choć było oczywiste, że jest to macierewiczowa akcja propagandowa, TVN24 wszedł w to jak w masło, cały dzień poświęcając na ekscytowanie się paradą, którą – nie wiedzieć czemu – sprawozdawała głównie prześliczna pogodynka w hełmofonie, zapewniająca widzów, iż „nasi przystojni polscy żołnierze to po prostu fajne chłopaki". Pamiętam, że wtedy oburzałam się w tekście, że dajemy Macierewiczowi 37 miliardów do zabawy. Jakże dziś tęsknię za tymi czasami!

– Nie uwierzę, że i za Macierewiczem, choć dla satyrycznego tygodnika to była dobra persona do wyśmiewania.

– Z Macierewiczem było jak w rosyjskim powiedzeniu o chędożeniu tygrysa: i straszno, i śmieszno. Kosiniak-Kamysz jest tylko śmieszny. Więc może teraz jest lepiej?

– Wracając do przeszłości: też pamiętam kaczystowskie obchody! Prezydent Duda powiedział, że Piłsudski specjalnie zaplanował zwycięstwo nad bolszewikami na 15 sierpnia, żeby uczcić Wniebowzięcie Matki Boskiej. A rok później poszedł krok dalej i ogłosił, że „Pan Bóg stanął w obronie Polski, wsparł polskich żołnierzy, Matka Najświętsza wsparła swoich chłopców". Ale najgłębiej wrył mi się w pamięć widok dwóch husarzy, dla których zabrakło koni i szli, powłócząc nogami i furkocząc skrzydłami niesionymi jak plecaki. Nie do odzobaczenia.

– Wielcem skądinąd ciekawa, co powie obecny prezydent, który – co by o nim nie mówić – nie ma dudowej skłonności do chłopięcych uniesień.

– Naprawdę jesteś ciekawa?

– Tak naprawdę, to nie bardzo. Mniej więcej wiemy, czego się po Karolu Nawrockim spodziewać. Będzie o biciu Moskali.

– Tylko już nie wiem, co może powiedzieć więcej, po swoim wiekopomnym wystąpieniu w rocznicę zaprzysiężenia: „Niech Ukraińcy mordują Sowietów, którzy ich napadli, a nas, Polaków, to w ogóle nie boli. W tym zakresie zawsze mogą liczyć na naszą pomoc, bo tam, gdzie się bije Moskala, tam Polska pomaga"…

– To skądinąd zabawne, że żarliwie antyniemiecki prezydent Nawrocki staje ramię w ramię z niemiecką propagandą. Ostatnio bardzo podobnie wypowiedział się dziennikarz prestiżowego niemieckiego dziennika „Frankfurter Allgemeine Zeitung", który zadał prezydentowi Zełenskiemu pytanie: „Czy może pan powiedzieć nam, Europejczykom, co konkretnie możemy zrobić, żeby pomóc wam zabić więcej Rosjan?".

– Później ten dziennikarz tłumaczył, że on tylko cytował Churchilla, który tak uzasadniał wsparcie jugosłowiańskich partyzantów w II wojnie światowej: „Kto zabija najwięcej Niemców i jak możemy im pomóc zabić ich jeszcze więcej?" Ale może już dosyć o zabijaniu, zbrojeniach, wojsku. Wreszcie mamy trochę lata w lecie, bo te afrykańskie upały były nie do zniesienia. Jak nie było w Warszawie czym oddychać, przypomniał mi się saharyjski dowcip. Pewnie znasz: podróżnik opowiada, jak to siedział na pustyni, a tam 50 stopni w cieniu. – To po coś pan siedział w cieniu? – mówi słuchacz.

– W Spale upał zapowiadają nieco mniejszy, cień też się znajdzie. Będziemy na polanie między Savoyem i Misiem. Joanna mieszka, a jakże, w Savoyu, ja w Misiu, spotykamy się w pół drogi. I Państwa też zapraszamy. Zlot jest trzynasty, więc na pewno będzie szczególnie przeklęty. Przybywajcie.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

POCZET (NIEKTÓRYCH) KRÓLÓW POLSKI

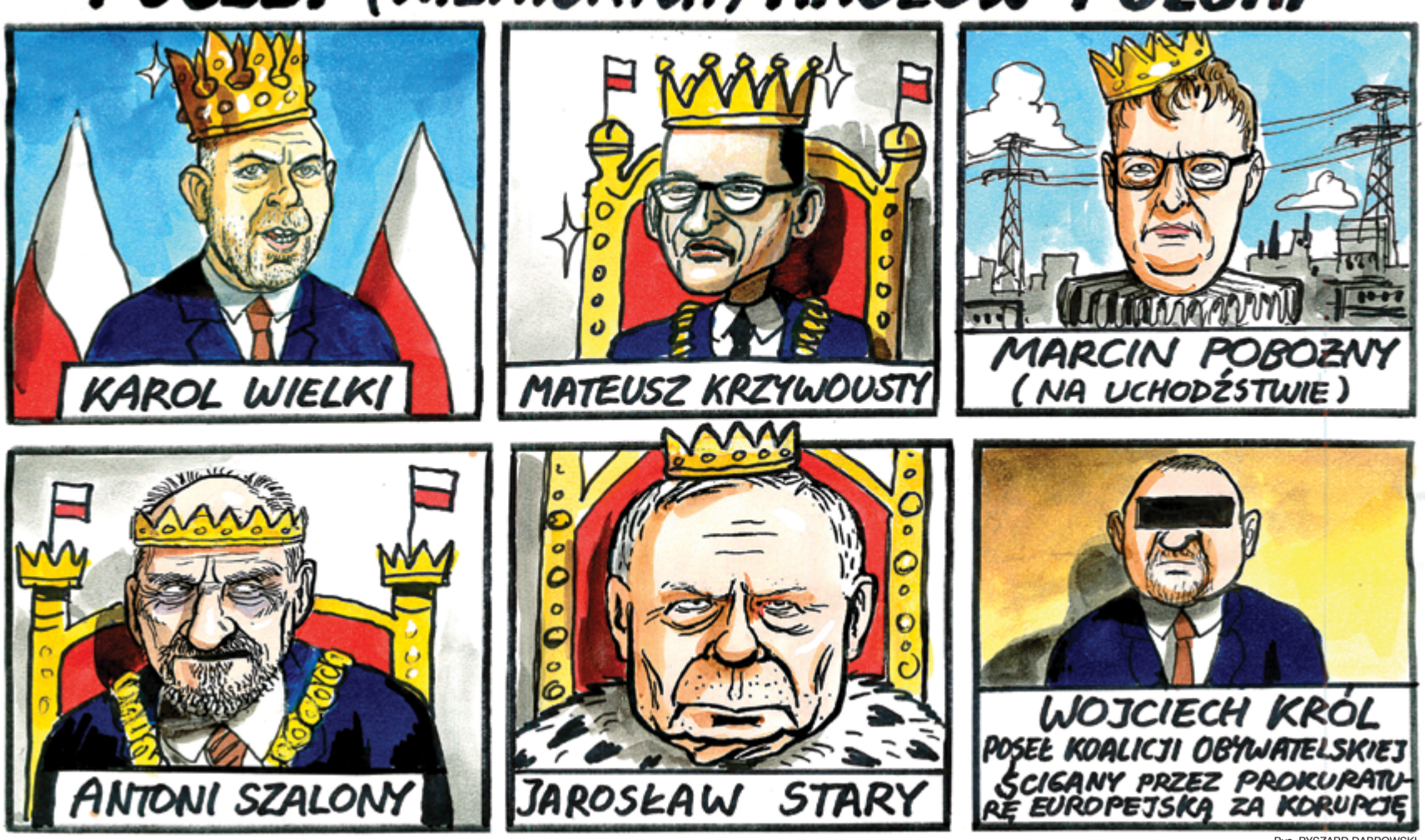

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 637fc21c80